



Y GODNIK
ILLUSTROWANY

BWS

M. Trzebiński

JÓZEF WEYSENHOFF:

Dusza pruska.

W hasłach naszych, zwróconych ostatnimi czasy przeciwko Niemcom, zauważyć można często pomieszanie pojęć: Niemcy a Prusy. Nie ulega wątpliwości, że Niemcy są odwiecznymi współzawodnikami Słowian, przede wszystkim Polaków, na terytorium między Odrą, Dunajem a Wisłą. Ale to współzawodnictwo miało przez wieki raczej charakter zmagania się między sobą dwóch kultur, nie było zatrute nienawiścią rasową, pomimo starć krwawych w wiekach średnich; owszem, przechodziło z wolna w rodzaj przymierza, w „entente cordiale”, jeżeli tak nowym pojęciem określać można stosunki państw między sobą od XV do XVIII wieku. Wprowadziliśmy ośm Niemców, córek cesarzów, na tron polski; ratowaliśmy Wiedeń, mieliśmy królów z domu saskiego. Jeżeli nie wszystkie te zbliżenia wyszły nam na użytek, to w ogólnej tendencji Polski do przyjaźni z Zachodem, więc i z bezpośrednim od tej strony sąsiadem, widzieć należy trwały kierunek aspiracji narodu.

Na tych stosunkach zyskały rękodzieła nasze, przemysł i nauki techniczne, chociaż wyższą kulturę duchową czerpaliśmy mało z Niemców, sięgając poprzez nie do źródeł łacińskich: włoskich i francuskich. Do końca XVIII stulecia rachunki nasze z cesarstwem Niemieckim utrzymywały się we względnej uczciwości i równowadze. Utratę Śląska winniśmy własnemu niedbalswu i pośrednictwu zniemczonych Czechów. Te stosunki nasze z państwem niemieckim zmieniły się dopiero z gruntu od czasu wzrostu Prus do znaczenia europejskiej potęgi, wzrostu, owarunkowanego w kapitalnej części przez upadek Polski.

W drugiej połowie XVIII-go wieku zmężniało i sformułowało się dopiero to plemię, przedtem dorobkowo niemieckie, któremu przypadła w udziale za naszych czasów hegemonia wśród starszych, o wiele zasłużeńszych dla ludzkości plemion germańskich. Na ten wrzód, nabrzmiały we środku Europy, zbierała się już od wieków materya w tak zwanym „zakonie Krzyżaków”, właściwie szajce przedsiębiorców, których wysokie szlachectwo nic z szlachetnością duszy nie miało wspólnego, których pobożne śluby były jedną z najbardziej niebezpiecznych karykatur idei Chrystusowej, osłaniając białym płaszczem i krzyżem serca obłudne i drapieżne.

Nie miejsce tutaj na szkicowanie historii zakonu Teutońskiego, który przyczynił się potężnie do zohydzenia idei niemieckiej. Chcę tylko przypomnieć, że Polska miała obowiązek i posłannictwo zgnięcia tego związku państwa Pruskiego. Winna to była sobie i Europie. I zdobyła się na czyn swój, może politycznie największy—na Grunwald. Lecz, powaliwszy sprośnego rajtara, zdeptawszy mu pierś zbrojną stopą, nie użyła tej, którą sama muza Clio kładła nam do rąk—dobójczej mizerykordyi...

Stało się—i to nie tylko w wieku

XV-tym, po tej wspaniałej krucjacie przeciw „Krzyżowcom”, lecz przez kilka następnych, pełnych omyłek, wieków. Utyskiwania są złą historiografią i złą polityką.

Wzniosło się więc przez winy cudze, przez własną wreszcie siłę żywotną, państwo pruskie, ugruntowane przeważnie na ziemi nieswojej, rozszerzone przez tradycyjną zaborczość, wybujałe do szczytu potęgi przez powodzenie w wojnie z Francją. Jest to nowa natura rzeczy, *rerum natura*, jak mówili Rzymianie, która nowe, a raczej odnowione tylko obowiązki wkłada na nas, Polaków, obowiązki grunwaldzkie, w stokroć gorszych warunkach, niż przed 500 laty, jednak wykonalne w tym zakresie, że wszystko, co uczynić dzisiaj możemy dla zwalczania wzrostu Prus, uczynić winniśmy. Skupiona wola milionów, przeciwstawiona innej wrogiej woli, walczy za naszych czasów mniej homerycznie, niż dawniej, jednak skutecznie. Rząd pruski w swych obłudnych przeciwko Polakom poznańskim oburzeniach, w swych „legalnych” przeciwko nim działaniach, usprawiedliwia się tem, że są oni wrogami państwa.

Długo próbowaliśmy nie być wrogami, ale nareszcie rząd potrafił to wmówić nie tylko Poznańczykom, lecz całej rasie polskiej, a wkrótce może uświadomi i całą Słowiańszczyznę.

W każdym razie zanika już u nas ta spotykana do niedawna, względna tęsknota do rządów pruskich, rzekomo legalnych i parlamentarnych. Były to zwykle głosy Polaków z Królestwa, oburzonych przez najświeższe pomysły biurokracji i biurokratycznych nacyonalistów rosyjskich. Można to nazwać polityką zniecierpliwienia, czy rozpacz. Przypomnieć tylko warto, że w stosunkach narodów, przeznaczonych lub skazanych na współżycie w jednym systemie państwowym, decydują mniej rządy, mogące się zmienić z dnia na dzień, niż podobieństwa i rozdźwięki dusz narodowych.

Duszę pruską znamy z dziejów i z każdego zetknięcia się osobistego z „prawdziwym Prusakiem”. Zauważyć trzeba, że, gdy w Rosji „prawdziwie rosyjscy ludzie” są za ledwie garstką spekulantów politycznych, zadowolonych z obecnego rządu, któremu najwięksi Rosyanie wypowiadają wojnę, dbali o przyszłość swego narodu, w Prusiech wszyscy niemal obywatele, nawet Żydzi, są „prawdziwymi Prusakami”. Skrajny nacyonalizm pruski, przewany niemieckim, znający prawo tylko pięści i handlowe, stał się prosto etyką i religią panującą w tem państwie karykatur, więc wysokiej kultury i „bojaźni Bożej”. Nazwałby je można, grzecznie mówiąc, raczej państwem ideałów praktycznych.

To główny rozdźwięk duszy pruskiej z wysoce niepraktyczną, marzącą zawsze o tryumfie powszechnej sprawiedliwości duszą polską.

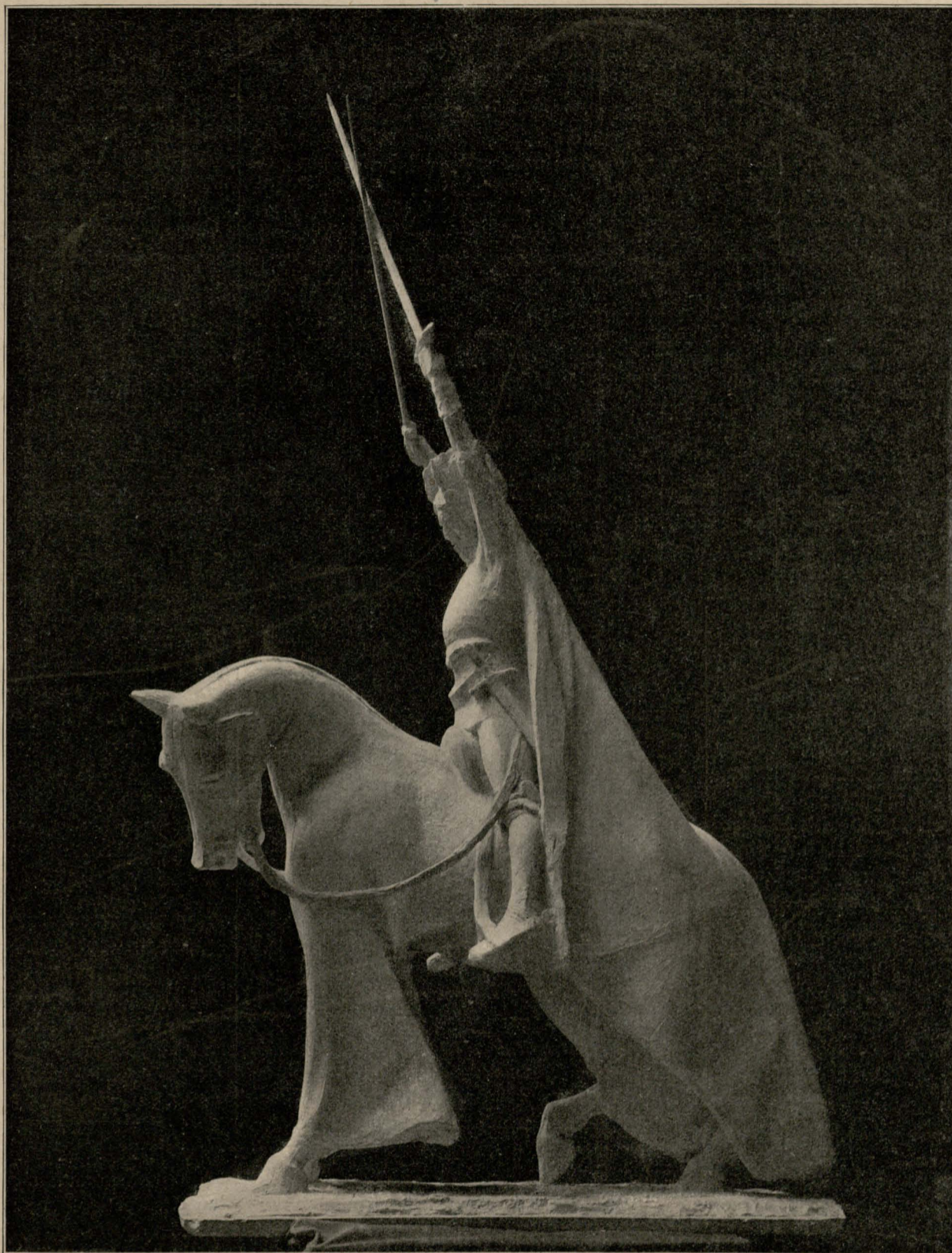
I ogół polski, bez względu na klasy, na zajęcia, na stronnictwa polityczne, inaczej zgoła jest zbudowany, niż społeczeństwo pruskie.

Ustrój nasz nazwać można szlachecko-

demokratycznym. Szlachta, ten tłum obywateli-ziemian, równouprawnionych między sobą, nadała społeczeństwu polskiemu piętno jednolite; do niedawna sama tylko szlachta tworzyła naród; wybujałe mieszczaństwo stawało się szlachtą. Do dziś dnia zauważyć można legitymowanie się ze szlachectwa najskrajniejszych niby demokratów, nawet ludowców. Gdyż pojęcie polskiego szlachectwa zupełnie odmienne jest od zachodniego, będącego przeżytkiem systemów feudalnych i dynastycznych. Szlachta polska jest dotychczas rdzeniem narodu, czynnym po wsiach i miastach, zespolonym zupełnie z nowszem mieszczaństwem, jest właściwie burżuazją panującą, czem istotnie była przez wieki. Bardzo niedawno obudzony lud w drugim już pokoleniu staje się tą samą szlachtą, czyli, ściśle mówiąc, poczuwa się równouprawnionym obywatelem, w której to aspiracji nie trafia na przeszkody, owszem, z otwartymi rękoma przyjmowany bywa przez ogół narodu.

Zgoła odmiennie układają się stosunki społeczne, klasowe w Prusiech. Nieliczna tam, ściśle przez partykułę „von” od innych klas odróżniona szlachta, podobniejsza do starożytnej, jest ostoją militarystyki i tronu, ale nie nadaje wcale charakteru ogółowi inteligencji, zwłaszcza berlińskiej. Ogół ten jest mieszczański, tylko znowu po swojemu, nie po naszymu. Egoizm zarówno osobisty, familijny, jak narodowy, rozkwitł tam w niezmierny ogród. Naród pruski podobny jest do olbrzymiego stowarzyszenia udziałowo-ekonomicznego, w którym każdy obywatel, pod tym względem wysoko ukształcony, liczy ciągle grosze swoje i dobytek publiczny, dający mu także prywatne odsetki. Dlatego to z Prusakiem tak naturalnie i serdecznie kojarzy się Żyd, ten drugi w Europie rachmistrz i wyznawca odartej z etyki i estetyki cywilizacji. Masy burżuazyjne pruskie nie dzierżą wyraźnie steru rządu, sprawowanego tymczasem przez junkrów i partję dworską. Ale kwitną, rozwijają się, nadają coraz wyraźniej swą barwę zbiorowej duszy pruskiej. Nawet socjaliści niemieccy są dużo spokojniejsi, niż francuscy lub rosyjscy. Profesorem uprawiają pogodnie teorię, a stronnictwa niby skrajne wchodzą w ciągłe kompromisy z burżuazją, a nawet z junkiersko-militarnym rządem, który im tymczasem zapewnia potęgę państwową na zewnątrz. Ogół mieszkańców, bez względu na odcienie partyjne, chce przede wszystkim utyć materyalnie. Tę solidarność, to poczucie zbiorowego egoizmu nazwać można cnotą społeczną, chociaż znowu przeciwną polskiemu usposobieniu.

Cnoty, czy wady—wszystko przeciw się sobie w obu sąsiednich narodach. Samo spotkanie indywiduów krzesze iskry antypatyczne. Prusak jest wyrachowany, skąpy, poziomego, choć praktycznego rozumu arrogant i pogardliwy względem obcych, anestetyczny i prostak. Pokłóci się na każdym gruncie z Polakiem rozrzućnym i gościnnym, rycerskim i wrażliwym na piękno. Te dwa temperamenty są instynktowo wrogie jeden drugiemu zarówno w jednej izbie, jak w swych narodowych dążeniach.



JAGIELŁO POD GRUNWALDEM
Z wystawy jesiennej T. Z. S. P. w Warszawie.

ST. R. OSTROWSKI

Nigdy takim nie był stosunek Polski do wielkich Niemiec, które przycichły za naszych czasów pod grzmotem bębnow pruskich. Aczkolwiek charaktery germańskie różnią się zasadniczo od słowiańskich, Polak i Niemiec czysty nie są stworzeni na wrogów. Można powiedzieć nawet, że te dwie rasy dobrze dopełniają jedna drugą. Chociaż krzyżowanie ich na północy wydało typ pruski, potworny ze stanowiska chrześcijańskiej cywilizacji, mamy inne przykłady krzyżowań udatnych, np. w Austrii, a przede wszystkim w naszym szczupłym jeszcze, ale już dobrze krajowi zasłużonym mieszczaństwie właściwym.

Dawna dusza Niemiec filozoficzna, szla-

chetna i skupiona, nie kupiecka, ani nazbyt żołnierska, budziła w nas zawsze przynajmniej uszanowanie. Nigdy przecie do niej nie czuliśmy nienawiści. Tego zabójczego uczucia nauczyły nas Prusy przez swą politykę odwiecznie przewrotną, przez nowoczesny wzrost Berlina, znieprawiającego wszelkie pojęcia o zadaniach kultury, nawet narodowo niemieckiej.

Ogromny, do szpiku zepsuty obczy-



jowo, zaspekulowany w swych materialnych dorobkach, przepychający się siłą pięści na stanowisko hegemoniczne Berlin coraz bardziej oddala się swą istotą wewnętrzną od duszy prawdziwych Niemiec, zbliża się zaś do ideałów swych praocjów, raczej spadkodajnych prawujów—Krzyżaków.

Prusy z niemałą arogancją podnoszą sztandar wszechniemiecki i rzekomej cywilizacji. Pod tymi pozorami przyciągają ku sobie zbyt wielkie korzyści ze szkodą innych plemion, zbyt mało dały od siebie ludzkości. Zaczyna już ta gra krzyżacka oburzać całą Europę i otaczać Prusy zimną obręczą nieufności. Ze wschodu i zachodu ostrzą się przeciw Prusom grunwaldzkie miecze.

„Jeszcze Polska...” z pod Gravelotte.

O „Duchu pruskim“ Kossaka.

Naród, który, pomimo wielu błędów, starał się zawsze iść drogą Chrystusową, który stokroć bardziej nieszczęśliwy był, aniżeli grzeszny, który nigdy nie popełnił zdrady i przemiany, a brzydził się Judaszem i srebrnikami jego—naród ten skazany został na przejście pokuty straszliwej, dręczącej nie tylko ciało żywe i krew pulsującą, ale i świadomego istoty swej szlachetnej i górnej, ducha.

Dwaj wrogowie, stojący naprzeciw sobie z bronią w rękę i patrzący wzajemnie w niezbladłe od trwogi oblicza, muszą czuć szacunek zarówno dla męstwa własnego, jak i dla odwagi przeciwnika.

Łzami uczcił Jagiełło zwłoki poległego Ulryka von Jungingen, i do dzisiaj trwa dzielny wielki mistrz zakonu w aureoli rycerskiej sławy nie tylko u swoich, ale i w pamięci potomków tych, którzy rozbili w proch żelazne jego zastępy. Bo nieustraszoną wobec śmierci, bo wzniosłą skon na stanowisku, bo wierność przysiędze swojej i swoim narodowym znakom cześć obudzić muszą w każdym, nawet w najzakamienialszym wrogu i w najzaciętszym przeciwniku. Ale stokroć jest gorzej, gdy walczyć trzeba nie tylko z przemocą fizyczną, lecz z całym potwornym aparatem podstępów, knowań, obłudy, potwarzy, szykan, z tem wszystkiem, jednym słowem, co spotyka nas od długiego szeregu lat ze strony nieugiętej i wytrwale idącej wciąż na wschód, rozlewającej się coraz szerszą i szumniejszą falą prusaczyzny.

Przed kilkoma laty na pierwszej stronie *Tygodnika Ilustrowanego* zamieściliśmy reprodukcję przepysznego kartonu Antoniego Kamińskiego. Na mazowieckim urodzajnym polu pracują w pocie czoła cisi, dobroduszni kmiecie polscy. A na wzgórku tuż obok zakuci w stalowe zbroice rycerze krzyżacy oczyma drapieżnych sępów z pogardą a chciwością patrzą na Boży lud i zbożną robotę. Na niebie przewalają się chmury, i niewiadomo, co błysnie dla świata: czy zorza tych, co pokój noszą, czy grom i błyskawice, wieszczące burzę rozpętanych nienawiści.

Oto symbol tego straszego stosunku, jaki się między dwoma narodami wytworzył, symbol, który trwa po dziś dzień. I niestety, zorza pokoju wciąż daleka jeszcze, a natomiast złość zjadliwa z coraz to większą wybuchą siłą, coraz śmielej i bezczelniej wyciąga ostre, zuchwałę szponiska.

Wielki malarz i syn wielkiego artysty, prawdziwy dynasta w królestwie sztuki polskiej, Wojciech Kossak, z potęgą mistrzowskiego talentu przedstawił cztery sceny z życia Polaków i Niemców. Cztery sceny tylko, ale to wystarcza, aby zgłębić i przejrzeć

do dna całą otchłań bezprawia, uczynionych narodowi naszemu, aby odtworzyć obraz gwałtów pruskich, przerażających swą grozą i swym cynizmem.

Pierwszy karton wyobraża jeden z mnogich epizodów przeszłości, odzwierciedla to, co się odbywało niemal codziennie na pograniczu polsko-krzyżackim. Garść zbrojnych rabusiów urządziła sobie łowy na lu-



Jagiełło pod Grunwaldem St. R. Ostrowski

dzi: niespodziewanie spadli na ubogą wieś polską i wloką za warkocz knechtowie niemieccy jasnowłose dziewczyny i urodziwe kobiety słowiańskie, aby z nich uczynić jednodniowe nałożnice.

We krwi kładą się bezbronni mężowie i bracia, pustka i zagłada zostają po tych okropnych odwiedzinach cywilizatorów teutońskich.

Na drugim obrazie scena odmienna, chwila krótkiego, pozornego zresztą tryum-

fu: hołd, składany Władysławowi IV przez kurfirsta brandenburskiego, niebawem już króla pruskiego. Lennik, knujący zdradę w sercu, przyszły sojusznik wrogów Rzeczypospolitej, kornie teraz przykłęka przed majestatem polskiego władztwa i chorągiew z czarnym orłem pokłon składa orłowi białemu. Z welaszkowską barwnością i mocą odtworzył artysta ten dumny fragment wspaniałej, do stojonej przeszłości.

Stare mury, charakterystyczne budowle *antiquae Varsoviae* dają przepyszne tło kolorowym, świetnym postaciom.

I znowu równia, zbożem pokryta, znów sioło polskie, spokojne, ciche, pracowite dni pędzące w trudzie i modlitwie. A oto precz pójść trzeba z tej ziemi własnej; trzeba iść szukać zarobku i chleba gdzieindziej. Zimny, surowy w swej drewnianej powadze żandarm pruski czyta rozkaz rządu, rozkaz, który osiadłych oddawna kmieci w jednej chwili tułaczami czyni.

I pójdą, i zostawią chaty, w których żyli tak długo, i cmentarze z prochami najbliższych, i krzyż, pod którym się modlili, a na nim Chrystus z bladą, męczeńską twarzą zapamięta ten ostatni krzyk zrozpaczonego serca i tę ostatnią krwawą łzę, wylaną na pożegnanie.

Lecz najtragiczniejszy w moim mniemaniu jest obraz chronologicznie trzeci, scena z 1870 roku, z czasów wojny francusko-pruskiej.

Pod Gravelotte grzmiały działa francuskie, i komenda niemiecka pcha w najstraszliwszy gwałt walki dzielne pułki poznańskie.

Idą polscy chłopcy, idą z wrodzoną odwagą i męstwem; ale oto ustawione opodal orkiestry zagrały. I wzbili się nad zamęt walki ten cudowny, nieśmiertelny mazurek, przy którego dźwiękach umierali z radością bohaterowie legionów, i wiarusi napoleońscy, i podchorążowie junacy, i biali ułani w olszynie, i ci niemundurowi rycerze lat późniejszych w czamarkach i rogatywkach domowej roboty.

Wzbili się mazurek, i płomień przeleciał szeregi. I zapomnieli biedni polscy chłopcy, kto to ich pędzi do bitwy, i zapomnieli, na kogo tak lecą i za czyją mają walczyć sprawę.

Oni słyszeli tylko swoją najdroższą pieśń, która grała ciutko w ich sercach, a teraz oto odezwała się z taką ogromną, z taką porywającą świat całą mocą.

I biegli, i padali w kałużach krwi, i marli w przekonaniu, że giną za swoją świętą, ojczystą ziemię, za mowę swoją i za Boga swego.

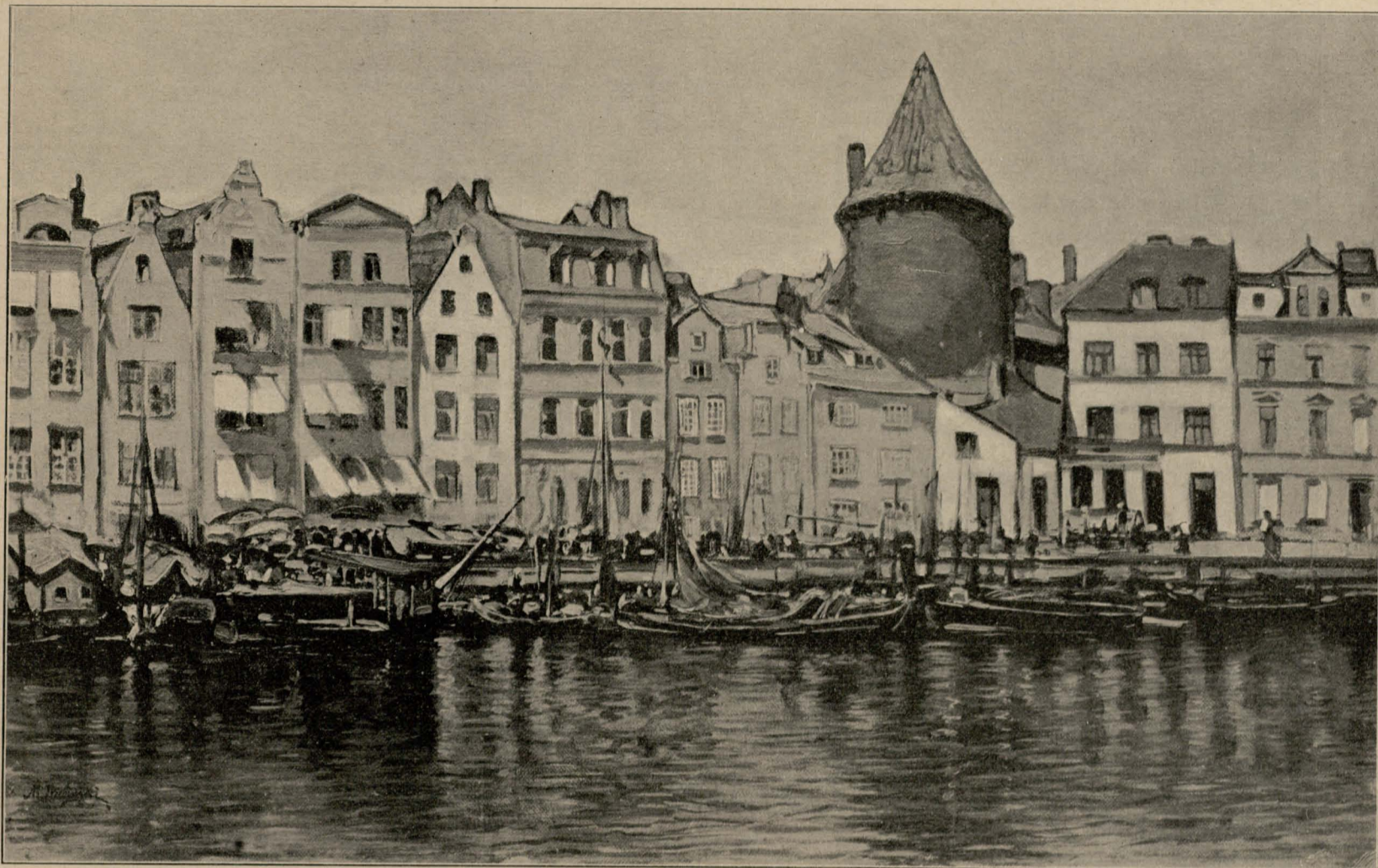
A gdy wrogom naszym wybaczone będą wszystkie ich winy i okrucieństwa, tego jednego świętokradzkiego czynu chyba Bóg im nigdy nie przebaczy.



PRECZ! (rugi pruskie, karton z albumu jubileuszowego „Tygodnika“)

W. KOSSAK

RED.



GDAŃSK

M. TRZEBIŃSKI

LEON RYGIER:

SPOWIEDŹ.

...Przeżyłem, przekochałem moje lata młode ..
Lucyan Rydel.

Nad głową bezdomnego wieczyście tułacza
(Trochę z losu, a więcej jeszcze z własnej
woli)

Szumi drzewo przydrożne:—Idzie twoja kolej!
Patrz: słońce się za granat cichych gór
zatacza...

Lubię ten szept łagodny o słodkim zachodzie...
„Przeżyłem, przekochałem lata moje młode...”
Sąsiad mój ma rodzinę, dostatek, zagrodę—
Ja roztrwoniłem wszystko na lądzie i wodzie...

Nie zazdroszczę nikomu, nie pragnę niczego...
Dręczący sen o szczęściu nigdy mi się
nie śni...
Jak niebo lazurowe, jasne są me pieśni...
Gwiazdy czyste i dobre nocy moich strzegą...

Przyszło dziś do mnie dziecko—nie pytałem
czyje—
Dało mi kwiaty, z mojej pozbierane łąki:
Bo przyjaciółmi memi dzieci i skowronki,
Bo, jak one, bez troski o dzień jutra żyję...

Zajrzałem w oczy, których nie zamglił cień
grzechu,
Wziąłem z nich, grzesznik wielki, komunię
przezystą...

Nie skusisz mię, jak Fausta, nie skusisz,
Mefisto:
Jam skarby swoje złożył w dziecięcym
uśmiechu...

Gdybyś mi teraz—nawet nie za cenę duszy—
Chciał wrócić młodość, jabym zapytał się:
—Po co?

Czyż i dzisiaj, jak dawniej, zorze się nie
złocą,
Kwiaty nie pachną, rosa z sennych drzew nie
prószy?

„Przeżyłem, przekochałem lata moje młode”,
Kielich mój wychyliłem aż do dna, aż do dna...
Dusza moja, niczego na świecie nie głodna,
Zachowała na zawsze jasność i pogodę...

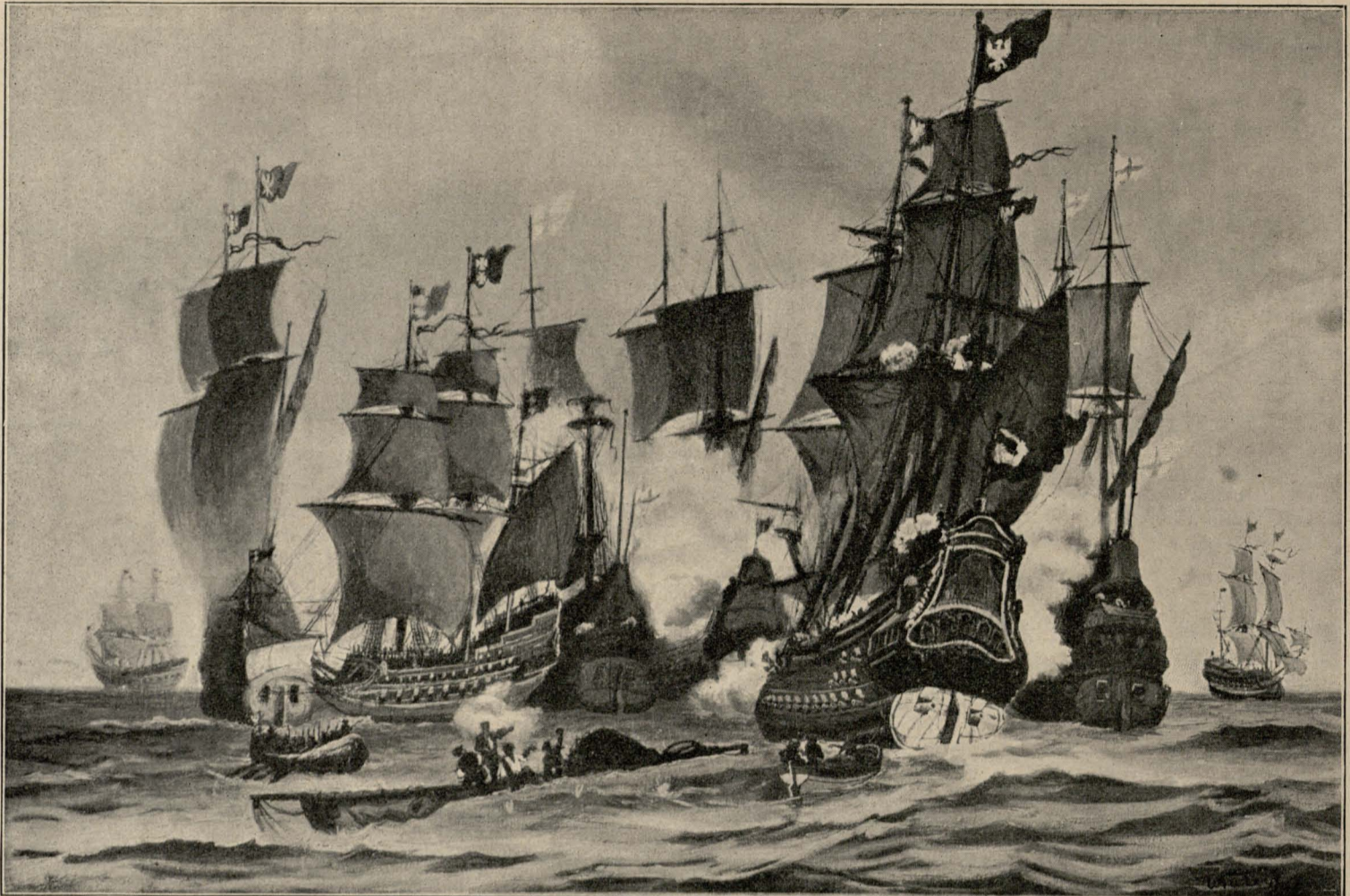
Błogosławię wam, kwiatów nowej wiosny pęki,
Błogosławię wam, pierwsze młodości zachwyty,
Błogosławię ci, chłopcze, rozkoszy niesyty,
I tobie, dziewczę, chyłkiem biegnące przez
łąki...

Kochajcie się... Niech piersi wasze, szybko
tchnące,
Przyłgną do siebie w mroku szumiącej
dąbrowy,
Niech się uroszą w trawie upojone głowy,
Nie wiedząc nic o blizkiej, koniecznej
rozłące...

Ja, ukryty w gęstwinie, zaśpiewam wam jeszcze
Pieśń tak młodą, jak bogów waszej wiosny
śpiewy,
Pieśń tak wonną, jak polnych róż kwitnące
krzewy,
Pieśń tak słodką, jak pierwszych naszych
pieszczot dreszcze...

Jeżeli nie podjąłem czynu, co kamienie
Znosi pod gmach przyszłości, budowany
w męce,
Jeśli młotowi obce były moje ręce,
A od znoju krwawego stronił duch
w marzenie—

Tom wam za to z swych pieśni zgotował
witraże,
Co gmach ten wskroś zaleją kolorami tęczy,
Tom za to, w upojeniu radości młodzieńczej,
Bóstwom słońca, gwiazd, kwiatów wyciosał
ołtarze...



Atak floty polskiej na statki szwedzkie pod Gdańskiem w dniu 28 listopada 1627 roku.

WŁODZIMIERZ NAŁĘCZ

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA

VIII.

Wytwórczość. Wszystkie przedmioty, niezbędne dla materialnego i duchowego dobrobytu, wszystko, co podtrzymuje istnienie, tudzież rozwój biologiczny i psychiczny, jest rezultatem: pracy twórczej. Pokarmy, napoje, odzież, mieszkanie, opał, naczynia, narzędzia i sprzęty, drogi i wozy, lokomotywy i statki wodne, a dalej: książki, biblioteki, budynki szkolne, sale odczytowe i koncertowe, muzea, galerie i pracownie, obrazy, rzeźby, instrumenty muzyczne, wreszcie arcydzieła architektury, wszystko to urodziło się z pracy.

Jednostka może spędzić życie wygodne, nawet przyjemne bez pracy, dzięki majątkowi odziedziczonemu, wygranemu, a choćby skradzionemu lub wyszachrowanemu. Ale społeczeństwo, naród, żyć i rozwijać się musi tylko przez pracę. Im więcej i umiejętniej pracuje, tem pomyślność jego jest większa, bo praca zaciera ślady nawet ciężkich rabunków. W roku 1870 Francja zapłaciła Niemcom pięć miliardów franków kontrybucji; Bismarck był pewien, że zrujnował swoich zwyciężonych przeciwników, lecz — omylił się, gdyż praca i oszczędność francuskiego narodu w kilka lat powetowała straty!

Praca wytrwała, mądra, zorganizowana jest owym czarodziejskim pierścieniem, za pomocą którego znikomy człowiek wywołuje i robi swymi niewolnikami najpotężniejsze demo-

ny, jakie panują w wodzie, ogniu, powietrzu i głębokościach ziemskich. Dla pracy mądrej niema niepodobieństw. I gdyby mi kto powiedział, że za kilkaset lat człowiek będzie żył tak długo, jak mu się podoba, że, z jednej strony, dosięgnie środka ziemi, a z drugiej — doleci do księżyca, ażeby tam zdobywać nieznanne materyały, ani przeczyłbym, ani dziwiłbym się temu.

A cóż dopiero mówić o projektach ścisłe ziemskich... Wszelkie bogactwo, wszelka wolność, wszelka władza musi się stać własnością nie tych, którzy ją kiedyś posiadali, albo w danej chwili posiadają, ale tych, którzy potrafią pracować jak najenergiczniej, jak najmądrzej, jak najwytrwalej. Dzisiejszą potęgę Niemcy zawdzięczają nie generałom lub ministrom, ale swoim fizycznym i duchowym pracownikom, i toż samo powiedzieć można o Francji, Anglii, Stanach Zjednoczonych. Zaś próżniacy, choćby mieli jak największą potęgę, zmarnują wszystko, a przykład mamy na samych sobie, którzy przewałkoniliśmy Rzeczpospolitą.

Według ekonomii, do pracy wytwórczej wchodzi następujące czynniki: Natura, Kapitał, Praca fizyczna i Inteligencja. Przypatrzmy się temu bliżej.

Wyrazem: natura oznaczmy ziemię urodzajną, pokłady geologiczne, w których znajduje się węgiel, nafta, rudy metalów; dalej — lasy, łąki, z pasącym się na nich bydłem, rzeki rybne i spławne, nareszcie morze, z jednej strony spiżarnię, z drugiej wielki a tani gościniec handlowy.

Co z tego posiada naród polski?... a raczej czego nie posiada! Więc naprzód brak nam morza, co jest nieszczęściem narodowym. Powtóre — ziemia chleborodna niekiedy wymyka

się z rąk polskich dzięki nieprzebaczonej lekkomyślności jej posiadaczy; lasy znikają, rzeki jałowiejają i mało nadają się do żeglugi, a kopalnie, np. węgla, który jest źródłem potęgi ludów ucywilizowanych, już przeszły albo przechodzą w obce ręce i są podobno wyzyskiwane w sposób marnotrawny.

Ilustracją już nie tylko lekkomyślności, ale wprost obłądki, jest wypadek, który podają z wszelkimi zastrzeżeniami, gdyż wierzyć się nie chce w możliwość czegoś podobnego.

Wiadomo, że parę lat temu ogłoszono Niemcom wojnę ekonomiczną; wiadomo, że dla skuteczniejszej akcji potworzyły się na gruncie galicyjskim odpowiednie stowarzyszenia; wiadomo wreszcie, że grono dam galicyjskich zaczęło zbierać centowe składki na założenie jakiejś narodowej fabryki, bez bliższego określenia natury jej produktów. Mieliśmy więc, powtarzam, ogłoszoną wojnę Niemcom, mieliśmy zawiązek armii *ad hoc* i początek gromadzenia funduszków.

A tymczasem w okresie najgłośniejszych wojennych fanfar przyszło kilku niemieckich kapitalistów i podobno tuż pod Krakowem zakupiło pokłady węglonośne!...

Oto egzamin, czego jest warte nasze krzykactwo. Przecież bez ogłaszania bojkotów antypolskich, bez wykrzykiwania hasel szowinistycznych, należało poprostu nie sprzedawać nie tylko Niemcom, ale nawet aniołom, naszej ziemi, a tem bardziej ziemi węglonośnej. Ja nie mam najmniejszej nienawiści do Niemców, owszem, bardzo ich cenię, ale pragnę mieć nasze rolnictwo, nasz przemysł, handel, rzemiosła i t. d., i dlatego bez ostatecznej konieczności nie sprzedałbym kopalni pod Krakowem. Przecież

pod Krakowem może znalazłby się jakiś polski milioner; dlaczegoż więc on nie miał zarabiać na polskim węglu, nie zaś kapitaliści niemieccy?

Trzeba dodać, że my prawie nie znamy naszych bogactw naturalnych i, dalibóg, nie zdziwiłbym się, usłyszawszy kiedyś, że w Królestwie Polskim jaki geolog niemiecki odkrył nowe pokłady węgla, może nafty, może rudy żelaznej?... A już wcale nie myślimy o tem: ile trzeba zbudować dróg, uszlachnić i zarybić rzek, osuszyć albo zirygować łąk, poprawić gruntów piaszczystych za pomocą gliny i t. d. My zajmujemy się tylko „obchodami”, a o naturze naszej niech myślą „Szwaby!”...

W pojęciu „kapitał” mieści się nie tylko gotówka, w którą nie jesteśmy zbyt zasobni, ale i przedewszystkiem: motory, maszyny, narzędzia, służące do wytwarzania przedmiotów potrzebnych. Należą tu również materiały surowe (zboża, len, wełna, drzewo), tudzież opał (węgle); o tem jednak mówiliśmy wyżej.

W naszym kraju człowiek średnio ukształcony ma o kapitale najgorsze, a zarazem najfałszywsze pojęcie. Mianowicie wydaje się nam, że każdy milioner jest, co najmniej, zbiegłym kryminalistą. Nie będę twierdził, że między kapitalistami niema kryminalistów, lecz jednocześnie wskażę czytelnikowi, w jaki to prosty sposób powstają miliony, wśród przychylnych warunków i w rękach człowieka zasobnego, a przedsiębiorczego.

Wyimaginujmy sobie, że jakiś młody i zamężny pan, zamiast strwonić pieniądze zagranicą w towarzystwie utrzymanek, otwiera w kraju, przypuśćmy, fabrykę tkacką, z motorem o 100 koniach parowych. Ponieważ koń parowy (według A. Coste'a) zastępuje fizyczną pracę 15 ludzi, więc ów pan, obok żywych i myślących robotników, którzy zarabiać mogą 50 do 200 kop. dziennie, będzie miał jeszcze 1,500 stalowych robotników, którzy pracują choćby 16 godzin na dobę, nie potrzebują mieszkań ani odzienia, a karmią się tylko węglem i wodą, z małym dodatkiem smarów.

Otóż, gdyby takiemu panu każdy stalowy robotnik przynosił dziennie tylko 10 kop. czystego zysku, jużby ów kapitalista, ani myśląc o okradaniu swoich żywych i czujących robotników, jużby ów kapitalista miał ze swej fabryki 150 rubli czystego zysku dziennie. A gdyby wydawał na siebie nawet 25 rubli dziennie, to jeszcze mógłby oszczędzić 45,000 rubli rocznie. Po kilku latach, jeżeliby sprzyjały warunki miejscowe i ogólnie handlowe, mógłby otworzyć drugą podobną fabrykę i zarabiać na niej już 54,000 rubli rocznie; zaś po latach kilkunastu, gdyby wciąż miarkował się w wydatkach, mógłby mieć motory o sile 1,000 koni parowych, pracujące za 15,000 robotników, co przynosiłoby mu rocznie przeszło pół miliona rubli, bez najmniejszego okradania ludzi.

A ponieważ istnieją na świecie przemysłowcy, dysponujący 10-cioma tysiącami koni parowych, czyli 150 tysiącami stalowych robotników, widzimy więc, jak straszna potęga mieści się w dwu tak niby niepozornych rzeczach, jak: motor i maszyna. Cóż to za odskok, co za przepaść między pracownikiem, który w pocie czoła zarabia rubla, a choćby dwa i trzy ruble dziennie, a wielkim kapitalistą, który ma 15,000 rubli dziennie tylko dla siebie i bodaj że bez wysiłków!...

Jeżeli powie mi kto, że tak ogromna różnica między dwoma ludźmi: robotnikiem i kapitalistą może nie jest bezpieczna, może nie świadczy o zdrowiu społecznym, może jest

groźna dla przyszłości, na to się zgodzę, choć wiem, że w naturze obok maluczkiej mszycy istnieje słoń i wieloryb. Ale, jeżeli kto zechce mi gwałtem dowodzić, że każdy milioner jest złodziejem i—że wstyd uczciwemu człowiekowi robić majątek, odpowiem mu:

— Mylisz się, dobry panie, a co gorsza: bałamucisz ogół... Bo my, Polacy, właśnie na tem, między innymi, cierpimy, że nie tylko nie umiemy robić majątków, ale nawet nie stawiamy sobie podobnych celów w życiu!... Owszem, róbcie jak największe majątki, ale na uczciwej drodze; róbcie je, ażebyście mogli oddawać jak największe usługi swojemu narodowi. Bo chyba i dziecko zrozumie, że taki pan, który ma 15,000 rubli dziennie, więcej może zrobić dla kraju, aniżeli nieborak, co ogłasza w pismach 50 rubli nagrody temu, który mu znajdzie posadę.

W zeszłym numerze *Tygodnika* wspominałem, że ze względu na roczne dochody jesteśmy bodaj czy nie sześć razy ubożsi od Prusaków. Zobaczmy teraz, jak znowu wyglądamy wobec Francuzów, ze względu na siłę maszyn parowych. Otóż we Francji, około 1885 roku, maszyny parowe przedstawiały siłę 68,000,000 koni parowych (według A. Coste'a), zaś u nas według St. Koszutskiego w r. 1890 pracowało 200 000 koni, czyli 3,000,000 ludzi parowych (Koszutski ocenia to na 4,2 miliona ludzi parowych, a więc za dużo). A że we Francji było 38 milionów mieszkańców, a u nas 10 milionów, zatem we Francji na każdą ludzką duszę przypadało 1 i $\frac{3}{4}$ człowieka stalowego, a u nas na każdą ludzką duszę przypadało tylko $\frac{1}{3}$ człowieka stalowego. Innymi słowy, ze względu na ilość ludzi stalowych czy parowych, jesteśmy przeszło pięć razy ubożsi od Francji. Stosunek ten pogorszy się nadzwyczajnie, gdy przypomnimy, że 1-mo Francuzi obok parowych mają jeszcze motory wodne, wietrzne i zwierzęce w sile 25 milionów ludzi i 2-do, że u nas z owych 3 milionów ludzi stalowych bodaj czy nie większa część należy do cudzoziemców, nawet nie osiedlonych w kraju.

Oto mała próbka naszego położenia ekonomicznego: jesteśmy wśród ludów europejskich biedakami, w dodatku nieopatrzni biedakami, nawet nie myślącymi o tem, jak poprawić swoje nieszczęsne położenie? A teraz bądźcie łaskawi, w dalszym ciągu, tłómaczyć młodzieży, iż dla naszego narodu najważniejszym rodzajem twórczości jest poetycka, a najważniejszym zajęciem są „obchody” patriotyczne. My będziemy „obchodzili”, a tymczasem inni wyrwą nam ostatni łokieć ziemi z pod nóg i ostatni kęs chleba z gardła!

KAZ. PRZERWA-TETMAJER:

Z VI SERJI POEZJI.

KTO ZAWSZE TYLKO...

Kto zawsze tylko żył w pustyni,
niechaj nikogo ten nie wini,
że nie podniosą się rozpacz,
i tylko nad nim kruk zakracze.

Kto się nie imał ludzi sprawy,
nie wcielał siebie w ból ich krwawy,
niech nie narzeka ten z pod ziemi,
że ludzie nad nim idą niemi.

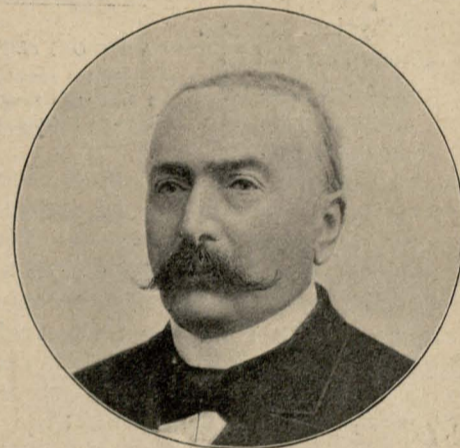
Kto kochał tylko wiatr i skały,
od skał i wichru li ma prawo
żądać, aby go żałowały,
kiedy pod zimną legnie trawą.

SYLWETKI JUBILEUSZOWE.

JORDAN.

Gdy w 1872 r. na łamach *Tygodnika Ilustrowanego* ukazały się „Wędrowki delegata”, powyższym podznaczone pseudonimem, czytelnicy pisma naszego (a już podówczas imię ich było legion) w lot zorientowali się, że autor tych świetnych szkiców charakterystycznych jest pisarzem pierwszorzędnego talentu, z duszą nawskroś polską i zacięciem starszylackim, z humorem jowialnym, śmiejącym się szczerze, a pocziwie, z głową mądrą, przenikliwą, patrzącą w przyszłość poważnie, trzeźwo, z sercem, kochającym gorąco kraj rodzinny i tych wszystkich ludzi, opisywanych z takim znakomitym darem obserwacyjnym, z ich wadami, śmiesznościami i głupstwami.

I to odczucie charakteru pisarza młodego, a występującego odrazu z dojrzałą, wysokiej wartości literackiej pracą, nie zawiodło czytającego ogółu. W Jordanie przybył beletryście polskiej talent rodzinny, samorodny,



Julian Wieniawski (Jordan).

o cechach nawskroś swojskich, a oryginalnych, talent, rozwijający się szybko, rozkwitający bujnie i obdarowujący społeczeństwo zdrowym, a posiłnym owocem.

Jordan, Julian Wieniawski, ziemianin z powołania i z umiłowania, po ukończeniu instytutu w Marymoncie, któremu kilka pięknych poświęcił opowiadań, odbył praktykę gospodarczą w dobrach gosławskich hr. Kwileckich. Od nich też objął w dzierżawę majątki Góry i Wielkopole. Żonaty był już i dietny, gdy rozpoczęło się powstanie. Pomimo obowiązków rodzinnych, Wieniawski nie zaważał się ani chwili i podążył do formującego się w Kaliskim oddziału. Oddział ten, zbierający się w obszernych lasach grodzieckich w marcu 1863, pod dowództwem kapitana Brekera stoczył wkrótce mniej pomyślną potyczkę pod wsiami Dobrosołowem i Mieczownicą. Tam Wieniawskiego nawiedził wysłannik Rządu Narodowego wraz z Adamem Potworowskim, wręczając mu rozkaz tegoż Rządu do natychmiastowego objęcia posady naczelnika powiatu konińskiego. Rozkaz taki, opatrzony zwykłą klauzulą, musiał być ściśle wykonany i najmniejszej nie ulegał odmowie.

Pożegnawszy się w obozie z sąsiadami i przyjaciółmi swymi: Tadeuszem Wyganowskim, Mieczysławem Pułaskim, Kazimierzem Potworowskim, Władysławem i Konstantym Dzierzbowskimi, odjechał ze ściśnionym sercem dla objęcia czynności, grożącej mu w razie wykrycia szubienicą. Wywiózłszy bez-

włocznie żonę i dziecko do Ks. Poznańskiego, oddalonego o nie całą milę od jego siedziby, powrócił do Gór i z całą młodzieńczą energią zabrał się do przygotowywania prowiantów i podwód dla oddziałów powstańczych; szczególnem zaś staraniem jego było zorganizowanie poczty obywatelskiej, która z niesłychaną szybkością przynosiła wiadomości o ruchach wojsk i ich przybliżonej sile. Tej poczcie zawdzięczał on ocalenie życia, kiedy w kilka miesięcy później wysłany został przez generała Kostandę nocą po niego oddział kawaleryi z Konina dla ujęcia go i stawienia przed sąd wojenny, gdzie nań niechybny wyrok śmierci oczekiwał. Na pół godziny przed przybyciem szwadronu uprzedzony o tem został przez tę pocztę i przed świtem jeszcze zdołał umknąć zagranicę,

do majątku pana Bolesława Moszczeńskiego, gdzie też żona jego z dzieckiem się skryły. Stąd wyemigrował niebawem do Paryża, pobyt bowiem w państwie niemieckim był wówczas bardzo niebezpieczny. Tam też sprowadził swoją rodzinę i poświęcił się studiom w Sorbonnie, „Collège de France” i częścią w szkole prawa. Gdy nadmierne koszty utrzymania, wobec zakazu powrotu do kraju, wyradzały obawy smutnej materyjalnej przyszłości, zdecydował się na obranie zawodu handlowego, gdyż o innym nie można było marzyć na obczyźnie. Przeniósł się więc do Lipska i tu studiował przedmioty, z powyższym zawodem związane; kiedy po dwóch latach udało mu się uzyskać pozwolenie powrotu do kraju, pod warunkiem zdania się na łaskę i niełaskę, stęskniony za ojczyzną, powrócił. Odbywszy śledztwa i dwukrotne więzienie na Pawiaku i w Cytadeli, oraz zapłaciwszy dwukrotną kontrybucję, powrócił w ukochane swoje strony konińskie, gdzie nabył majątek Komorowo. Długo borykał się z trudnymi ówczesnymi warunkami, wreszcie, po latach kilku, zdobył się na krok stanowczy: udał się z głową pełną projektów do Warszawy i założył, pod egidą ks. Jana Tadeusza Lubomirskiego, Leopolda Kronenberga, Jana Blocha i Juliusza Hermana, oraz przy czynnej pomocy i poparciu znanego ekonomisty, wiceprezesa Banku Polskiego, Antoniego Nagórniego, pierwsze w kraju Towarzystwo Wzajemnego Kredytu którego kierownikiem od samego początku aż do dnia dzisiejszego pozostaje ze znakomitem powodzeniem.

Miłując gorąco literaturę beletrystyczną, obdarzony od natury humorem i zmysłem obserwacyjnym, a nadewszystko wybitnym talentem, zaczął on już w wiejskim swoim ustroniu szkicować obrazki obyczajowe. Po przyjeździe do Warszawy, zaprzyjaźniony z Edwardem Lubowskim, prosząc o jak najściślejszą tajemnicę, za jego pośrednictwem wszedł w stosunki z redakcją *Tygodnika Ilustrowanego*, w którym prawie wszystkie swoje utwo-



APOTEOZA SŁOWACKIEGO

Obraz ten został nagrodzony na konkursie, ogłoszonym przez znaną firmę wydawniczą poznańską F. K. Ziółkowski i S-ka w Pleszewie, dla uczczenia jubileuszu Słowackiego. Zrobiona została z niego następnie duża reprodukcja trójbarwna rozmiarów 53 X 44 cm., którą czytelnicy nasi mogą nabywać w redakcyi „Tygodnika” w cenie rb. 2 za sztukę.

JÓZEF RAPACKI

ry drukował pod pseudonimem Jordana. Początek dały wzmiankowane powyżej „Wędrówki delegata”, za nimi poszły „Przygody panów Marka i Agapita podczas Wystawy Rolniczej w Warszawie”, dalej „Listy Jordana do pana Jana”, „Wspomnienia marymonckie”, „Z boru i dworu”, oraz wiele rozrzuconych w *Tygodniku* obrazków, jak: „Bakalarka”, „Układ o służebności” i t. p. Nęcił ją go też i scena, do której, jako doskonały humorysta, przynosił zapas wesołości. Napisał sztuk kilkanaście. Rzetelnem powodzeniem cieszyły się: „Przy kolei”, „Błaga” (odznaczona na konkursie Bogusławskiego), „Stomiany człowiek”, „Partya winta”, „Wśród lasu” (wierszem), „Polowanko”, „Pierwszy pacjent”, „Dzień feralny” (wierszem), „Myszy bez kota”, „Wilki i owce”, wreszcie 5 cio aktowa komedia „Dla dobra ogółu”, po której, znękany ciosami rodzinnymi, złamał pióro. Pamiętnik swój kreślił dawniej różnymi czasy, w miarę przypominających mu się zdarzeń.

Jordan to umysł wielostronny, bystry, nie tylko literaturą, ale i muzyką zajmował się niemało, bo, jak słyszeliśmy, posiada obszerny zbiór własnych swych pieśni, skomponowanych na fortepian. Gorący miłośnik sztuk pięknych, zebrał Wieniawski znaczną galeryę obrazów najwybitniejszych malarzy polskich.

W krótkiej tej sylwetce niepodobna nam było skreślić nawet pobieżnie obrazu życia i pracy zasłużonego pisarza i obywatela; jest to zaledwie szkic, rzucony z okazji jubileuszu *Tygodnika* na cześć jednego z najstarszych jego współpracowników. Oznajmiając czytelnikom naszym, iż w numerze noworocznym rozpoczniemy druk wspomnień Jordana z 1861—4 roku, życzymy sędziwemu, a znakomitemu pisarzowi długich lat jeszcze zdrowia i tak pożądaney dla społeczeństwa działalności.

ARTUR OPPMAN.



Wydawnictwa jubileuszowe dzieł J. Słowackiego.

Mija rok jubileuszowy. Całego bilansu jego obchodów i uroczystości, zjazdów i pomników, tego, co dokonał i co dokonać zamierzał, owych ślubów, układanych, niby wieńce i kwiaty, oby nie równie rychło więdnących, nie zestawiamy. Pomijamy rozbujalność literatury, poświęconej życiu i dziełom wieszczą, chociaż trudno nie wspomnieć o hołdzie nauczycielstwa szkół wyższych galicyjskich, co programy tegoroczne, programy wszystkich zakładów rozprawa mi o Słowackim wypełniło. Pomówimy natomiast o pomnikach, jakie Słowackiemu w kształcie wydań dzieł jego rok jubileuszowy wystawił.

Dawniejsze wydania bywały drogie, niezupełne, czasami w szczegółach bardzo zawodne; najnowsze usunęły te braki. Żadne z nich nie na-

zwowało się wprawdzie jubileuszowem. Każde niem jest istotnie. Najmniej jeszcze tej cechy ma wydanie prof. Tadeusza Piniego, skoro rozpoczęło całą seryę taniej biblioteki klasyków polskich, w formacie u nas niezwykłym, częstym zagranicą, szczególnie w Rosyi i w Anglii, wydającej tak samo w formacie słownikowym, o dwu szpaltach, Byrona i Szekspira. Wydanie to, jeszcze nie ukończone, bardzo tanie, zamierza objąć i perłę, jedną z najcenniejszych w całej spuściznie poety, jego listy do matki. Oryginalnie, ale nie bardzo szczęśliwie, ułożył wydawca dramaty, bo wedle ich treści chronologicznej; zaczął więc „Lillą Wenedą”, a zakończył „Nową Dejanirą”, jakby to były Kroniki szekspirowskie, wedle królów układane; ależ w takim razie „Agezylausowi” miejsce przed „Lillą” przypada; a gdzież „Zborowskiego” wstawimy, co z każdego nawiasu czasowego stanowczo się wymyka? A gdyby kto i wiersze epiczne w podobny sposób zestawiał?

Drugie wydanie, dotąd w sześciu tomach, pan Artur Górski skutecznie, zajęty oddawna spuścizną po poecie. Szczytne i górne są słowa jego wstępu, i niepodobna na paru stronicach lepiej treść każdego tomu określić i uzasadnić. Układ i wierszów lirycznych, i dramatów jest wcale trafny, obmyślany, chociaż o szczegóły, przy twórczości iście proteuszowej poety, spieraćby się można. Dział prozy, pism filozoficznych i politycznych jest niezupełny; osobny, siódmy tom, ma je objąć ostatecznie. Format bardzo wygodny: tomiki niewielkie bierze się do rąk z prawdziwą przyjemnością; popularne to wydanie i najszerzego mu rozpowszechnienia życzyć wypada.

Całkowitą spuściznę po poecie, z wyjątkiem listów, objęło wydanie, dokonane przez pp. Bronisławę Gubrynowiczą i Wiktora Hahna w dzieśięciu sporych tomach; zowie się pierwszym „krytycznym”, będzie zaś na długie lata jedynem. Nie tylko podaje tekst, lecz dołącza wszelkie odmiany, poprawki, fragmenty: „Król Duch” np. liczy 650 stronic, t. j. tekst główny objął pierwszych 200, dalej idą same odmiany i fragmenty. Zadaniem wydawców było nie uronić najmniejszego skrawka ze spuścizny poetyckiej, więc oparli się na rękopisach samych i wszystko, co poeta przekreślał, w dodatkach przytoczyli. Zadanie było niełatwe; podobizny autografów dowodnie o tem świadczą, jak trudno się zorientować w chaosie

przypisków i przekreślań poety. Wydawcy podzielili pracę tak, że dramaty i przekłady (tomy piąty aż do dziewiątego), opracował dr. Hahn; tomy pierwszy („Wiersze drobne”, dlaczego nie „liryczne?”), drugi (Powieści poetyckie), trzeci (Beniowski), czwarty (Król Duch) i dziesiąty (Proza) opracował dr. Gubrynowicz. Policzono każdy wiersz, nawet utworów prozaicznych. Wydawcy dodali i objaśnienia, nieraz cenne, przeważnie bardzo prymitywne, jakby obliczone na publiczność, co do krytycznych wydań zazwyczaj nie sięga. Słowackiego należy Słowackim objaśniać; takie drobiazgi, jak obce reminiscencye z lektury, pominieli wydawcy, za to należałoby np. odsyłać czytelnika przy „Beniowskim” do odpowiednich ustępów z „Podróży do Grecji”, włączonych tam przez poetę; albo przy pierwszym Heloisy wymienieniu wskazać słowa poety, tłumaczące wybór właśnie tego imienia i t. d. Mogliby jednak wydawcy słusznie odpowiedzieć: a gdzież koniec podobnym objaśnieniom? Utwory przedrukowali wedle czasu powstania; możnaby się nie zbytnio tem kłopotować, nie przedzielać np. „Horsztyńskim” „Balladyny” i „Lilli Wenedy”, dołączyć natychmiast „Krakusa”—ale to drobiazgi.

Wielką pozostanie zasługą wydawców, że stworzyli na koniec podstawę trwałą, o jaką oprze się każde krytyczne badanie poety. Poeta tej miary, co Słowacki, nigdy ulubieńcem mas szerokich nie zostanie; dzieła jego, prócz wyjątków, to „kawior dla tłumu”, i tylko estetycznie wykształceni okażą się najwierniejszymi, najszczerzymi hołdownikami poety. Dla nich to każdy wiersz poety cenny lub ciekawy, a gdy będą odtąd rozkoszować się w skarbach, jakimi poeta tak rozrzutnie szafował, wspomną z wdzięcznością i o tych, co nie żalowali czasu ni trudu, aby im te skarby uprzystępnić. W bilansie roku jubileuszowego to chyba najdonioślejsza pozycja.

A. BRÜCKNER.

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Cztery najwybitniejsze momenty na tle wrażeń teatralno-muzycznych. — Koncert Hoffmana. — Wzniesienie „Snu nocy letniej” Szekspira. — Koncert Thibauda. — Wystawienie „Kłatwy” Wyspiańskiego przez teatr łódzki w sali Filharmonii. — Barcewicz. — Wierzbittowicz. — Śliwiński. — Bellincioni. — „Na targowisku” Jaroszyńskiego. — „Zmierch” Knuta Ham-suna. — Konkurs „Kuryera Warszawskiego”. — „Król” Caillaveta i de Fiersa.

Jubileusz to—nie przymierzając—jak gody weselne. Dom cały do góry dnem przewraca.

Nie dało mi przyjść do słowa przez czas dłuższy zabiegów pełne jubileuszowanie *Tygodnika*. Tedy muszę cofnąć się—wstecz nieco, aby ciągłość obrazu sezonowego teatralno-muzycznego utrzymać. Skupiam myśli, rozproszone mnogimi wrażeniami, czynię w duchu akt syntezy—i odczuwam oto najsilniej: cztery momenty.

Moment pierwszy. Mrowiem publiczności najwyszukańszej zalana ogromna sala Filharmonii. Tu i owdzie w przejściach figuryнки osób stojących. Tłok. Na estradzie pospiętrzane w mało malowniczych grupach: sterty krzeseł i stołków orkiestrowych, a u samotnego, ogromnego, czarnego fortepianu—mały, nikły człowieczek, odcinający się z dala sylwetą czarną na tle olbrzymich organów, błyszczących w głębi estrady.

I od tego małego człowieczka, dobywającego orkiestralne a *tutte corde* tony i potoki dźwięków z jedyne-go swego instrumentu, rozchodzi się na całą ogromną salę milcząca, skupiona przedziwna muzyka, wypełniająca, jak woń przenikliwa, całą atmosferę ogromnego audytorium: od parteru niezliczonych rzędów foteli do stropu.

I pod burzą tonów szalejących, i pod leciuchnym powiewem najsubtelniejszych arpedżyów, i pod kantileną jakiegoś pajęczynowego trylu lub

pod rakieta jedną jakiejś przenajdźwięczniejszej nuty, ulatującej ze skrzyżowania fortepianowych strun i wążającej się przez chwilę samotnie w powietrzu, sala trwa cicha zupełnie, bez ruchu, zdawałoby się, bez oddechu.

Tylko idzie po niej *dreszcz* najczystszej, najszlachetniejszej muzycznej ekstazy, wstrzymujący na chwilę poczucie: realnego życia.

To Hoffman gra „Appassionatę” Beethovena, którą mistrz sam zwał „największą” sonatą swoją.



Mieczysław Frenk'el w roli Spodka.

To Hoffman, w którym—może jedynym—żywie dziś jeszcze duch Rubinsteina, *myśli tonami* i w transie odczuwania Beethovena celebrytuje wielką spowiedź burzliwego i ponurego kochanka Teresy Brunświckiej...

Lato r. 1806. Park miejskiej rezydencji hrabiego Franciszka. Przed chwilą na skrócie alei znikła mu z oczu ta, do której za dni kilka, z Wiednia, pisać będzie: „Aniele ty mój, moje ty wszystko, moje ty ja!”, i rwie się dusza za nią i rozplywa w dziwnej słodyczy melodwą, to znów wybuchą buntami i przekleństwami, gardząc życiem piekieł-

nem, wzywając kresu mąk nie do zniesienia...

Dziwna, prawie nad-człowiecza spowiedź! Namiętna wszystkimi namiętnościami, surowo-groźna, jak wicher potężny, wstrząsająca wszystkimi-tonami...

Inny moment. Sala Teatru Wielkiego, również pełna po brzegi. Na scenie: akt drugi „Snu nocy letniej”.

Zdawałoby się, no i cóż tam?... Szekspir! Juści, pietyzm i atencja głęboka wskazane. Pójść do łóżki lub pierwszych rzędów krzeseł—wypadalo. To się i poszło. Ale—w zachwyceniu być?! Oho!

I oto czar przecudownej Baśni nieśmiertelnej czuć było, jak zaczyna stopniowo działać. Czuć było, jak rozsnuta po parabolicznym lesie „Snu nocy letniej” głęboka melancholia życia ludzkiego, przetkana uśmiechami i kontrastami, brutalnym cynizmem i najpoetyczniejszym idealizmem, swawolą i wdziękiem, chłodnym błyskiem arcyumędrności i smugami najszlachetniejszych omamień, czuć było, jak to wszystko, w połączeniu z wrażeniem wybornej sceneryi, umiejętnej gry światła, zharmonizowanej gry aktorskiej z pomysłową reżyserią, wreszcie w połączeniu z kunsztowną i melodyjną muzyką Mendelssohna, zaczyna opanowywać przybyłych na widowisko zjadaczy chleba i kołaczy.

I w chwili, gdy spadła kurtyna, gasząc wizję na scenie, a zapalając współcześnie światła na sali, czuć było, że publiczność... obudziła się istotnie ze snu nocy letniej, obudziła się w *dreszczu* głębokiej, a silnie działającej—poezyi. Po duszach ludzkich, wziętych pod czar widowiska, pierzchały wówczas, jak widziadła senne—tysiące snów nocy letnich... Bo któż z nas nie ma gdzieś w duszy własnego „Snu nocy letniej”, z którym się nieraz ukrywa, jak z dowodem—słabości lub—jak z relikwią?

Wielki—i nie tylko teatralno-sceniczny sukces święcił znów Szekspir tu, na szarym padole codziennego życia naszego.

Wszystkim zaś, za których stało się to sprawą, niech będzie zasłużona cześć i chwała.

Puka nam tylko niech innego dadzą, bo

p. Lubicz-Sarnowska, przy całej swej ładności i zwinnoci, rady sobie z nim dać nie może.

Trzeci moment. Znów jesteśmy w sali Filharmonii, ale już tylko prawie pełnej do ostatniego miejsca. Lecz *elita* „towarzystwa” w komplecie. Na estradzie orkiestra *in corpore* w zwartej masie. Fitelberg, z wyrazistą twarzą swoją, magicznie czarującą damy, czujny, elastyczny, góruje nieco, jak wódz nad armią swoją. Tuż przy nim, na froncie, ze skrzypcami w ręku—prawie nieznanym w Warszawie wirtuoz, Francuz, Jacques Thibaud.

Gwar na sali ucicha; jeszcze kilka gwałtownych szelestów osiadających na miejscu swoim pań, kilka kasznięć późnojesiennych, jeden, drugi głuchy łoskot gdzieś na balkonie—i cisza, jak makiem siał.

Rozpoczyna się koncert skrzypcowy Beethovena, prowadzony przez orkiestrę idealnie, a przez solistę znakomicie.

Sala słucha, uważnie bardzo, ale wyczekująco. Publiczność stropiona pogłoskami, że Thibaud „większy” od Kubelika, waha się: jakie ma mieć zdanie.

I oto Thibaud zaczyna „brać” słuchaczy swoich. Czemu? Siłą?—nie; tonem?—nie; techniką niedoścignioną?—nie. Wszystko to już było—przed nim. Skrzypce Thibauda zaczynają—śpiewać. Beethoven staje się—melodyjnym! Cała *wielkość* Beethovena jakby rozlała się w tło dla melodyjnego dzieła muzycznego, za które nikt słynnego koncertu (Op 61) nie poczytywał. Indywidualność Thibauda poszła, jak pod wpływem magnesu, do beethovenowskiej pieśni; odczuwa ją właśnie najgłębiej, najdoskonalej i jej daje najpełniejszy wyraz w grze, jak się rzekło, wysokiej próby, świadczącej o wielkiej, gruntownej kulturze artystycznej.

I w grze Thibauda jest nie dająca się ująć w ściśle określenia—francuskość. Może to tylko światłość i dystynkcja; może wytworność; może szlachetność stylu? Myślę, że wszystko to razem. Beethoven Thibauda to nie Beethoven z Nie-



Oberon (p. Józef Śliwicki) i Puk (p. Lubicz-Sarnowska).

miec południowych. To Beethoven z Wersalu. To nie Beethoven, do którego—przywykliśmy; ale—jakże jednak piękny! Thibaud, Francuz, wymawia go „po swojemu”. Nie przymierzając, jak ksiądz francuski—łacinę.

Thibaud nie ośniewa, nie roztkliwia. Thibaud tylko... tylko!—jest interpretatorem wysokiego piękna artystycznego. Wszystko, do czego się tknie, przemienia się pod dźwiękiem jego skrzypiec w dzieło piękne i artystmu pełne. Istny magik. Sałatę zmienia w różę.

Kubelika można z przyjemnością słuchać od



Dekoracja do „Snu nocy letniej”. Las.

czasu do czasu; innego jakiego pierwszej klasy wirtuoza można słuchać w pewnym nastroju duszy; Thibauda można słuchać—zawsze; chciałoby się wciąż i wciąż go słuchać..

I gdy grać skończył „Symfonię hiszpańską” Lalo, parę tysięcy osób w Filharmonii mogło powiedzieć sobie: przeżyliśmy chwilę całkiem niepospolitą, najwyższego artystycznego wrażenia i zadowolenia. Nie był to: dreszcz. Było to jeno: sybaryckie, najszlachetniejsze ze szlachetnych—używanie.

Moment czwarty. Trupa łódzka p. Zelwerowicza, mająca w repertuarze swoim „Klątwę” Wyspiańskiego, nie znana ze sceny Warszawie, dała z niej widowisko na estradzie Filharmonii wśród dekoracji, naprędce i prymitywnie zaaranżowanych.

Zbiegły się tłumy. Dwakroć grano „Klątwę”.

Jako utwór dramatyczny, stoi „Klątwa” bardzo wysoko. Jako stek tragizmów i okropieństw, ułożonych w tragedję krótką, a mocną przez mistrza kunsztu pisarstwa scenicznego, wywiera wielkie wrażenie.

Do tego stopnia silne, że nie daje przyjąć do głosu rozwadze; nie daje opamiętać się, że „Klątwa” jest pełna chorobliwych majaczeń, a nawet potworności.

Duch greckiego dramatu ją przepaja. Zgoda zupełna, lecz czyliśmy pokoleniem atejskim? My ludzie nowocześni; my możemy u Sofoklesa i Eurypidesa... podziwiać tego ducha, lecz w jego władzę nie oddamy siebie, jak Grecy starożytni. Przeto też tak chwalony duch grecki „Klątwy” może

mieć dla nas wartość—tylko jakiegoś neoklasycyzmu.

Z jakich czasów są ludzie, działający w „Klątwie”? Z czasów Chrobrego? Krzywoustego? Może—z dalszych jeszcze? Co w nich *dziś*—ogólnoludzkiego? Taka ciemnota zabobonu może panować dziś chyba gdzieś tam, gdzie do dziś dnia panuje Tołstojowska „Władz T'my”. Lecz nigdzieindziej. Hamlety chodzą do dziś dnia po świecie i Donkiszoty, lecz nie tacy, jak ksiądz z „Klątwy”. Wszystkie motywy duchowe w „Klątwie” sztucznie są wykoncypowane *ad usum Delphini*, t. j. dla walenia nimi, jak maczugą, w rozstrojonego widza i słuchacza, dla uczynienia tragedji okropną, groźną, wstrząsającą nerwami.

A są w „Klątwie” rzeczy wręcz wstrętne i ohydne, na które wzdyga się człowiek dzisiejszy. Ksiądz czuje, że jedynie lub głównie winny jest on sam; nawet świta mu w zamroczonej głowie, że, jeżeli kto, to *on* powinien uczynić z siebie na stosie całopalną ekspiacyjną ofiarę. I—decyduje się wypchnąć za wrota matkę dzieci swoich i własne dzieci. I—gdy matka ta w obłędzie rzuciła w ogień dzieci swoje, a potem z dymów gorejącego stosu uleciała ku niebu para gołąbków białych, ksiądz-ojciec deklamuje rozrzewniony:

Dusze mych drogich, gołębic!
Wyście już zbyły ciał

męczarni,

Wy oczyszczeni ofiarami...
Czyste anioły! błogosławię
I znakiem krzyża rozwiązuję
Byt wasz doczesny...

Wstrętne i ohydne. Godne straszenia przez tegoż księdza Młodej piekłem, co jej właśnie nasuwa myśl o złożeniu siebie (i dzieci!) w ofierze... mściwemu Bogu!

Jedno jest tylko ludzkie w „Klątwie”. Uczucie starej matki księdza dla—wnuczki, bez względu na to, że są „nieprawymi”.

Reszta—obłądne szukanie okropieństw, rzekomo symbolicznych, i podrabianie motywów duchowych—greckich.

A jednak talent pisarski Wyspiańskiego tak wielki jest, że, pomimo miernej gry aktorów, pomimo pełnej prostoty inscenizacji, *dreszcz* szedł po sali.

Dreszcz, którym przejął ją wielki *talent*.

Już... już—kropkę stawię, tylko dopisując słów kilka jeszcze.

W interwałach między tymi „wielkimi momentami” nie mieliśmy bynajmniej—pustki i ciszy.

Grał świetnie—Barcewicz w Resursie Obywatelskiej wespół z rzadko oklaskiwanym w Warszawie znakomitym wiolonczelistą Wierzbilowiczem. W Teatrze Małym wystawiono sztukę Fredry-syna „Wielkie bractwo”, nietęgą, słabszą, niż jego jednoaktówki, ale srodze ucieśzną, tedy nie schodzi z afisza. W tymże Teatrze Małym poszła gładko bardzo dobrze grana sztuka Jaroszyńskiego (autora „Sąsiadki”), nie nowa, lecz gruntownie przerebiona, p. t. „Na targowisku”. Autora wywoływano zapamiętale. W Rozmaitościach na premierze „Zmierzchu” Knuta Hamsuna gust publiczności naszej pokłócił się ostro z czysto norweską, w dodatku słabą sztuką. Krytyka wymotywowała ten rozdźwięk i usprawiedliwiła. Natomiast przy gromkich aplauzach weszła na scenę Nowości odświeżona wykwinną *mise-en-scène* nieśmiertelna „Piękna Helena” z ucharakteryzowanym... sensacyjnie Agamemnoem, przybywającym na Zeppelinie,



Scena z komedji T. Jaroszyńskiego „Na targowisku”.

oraz z imponująco piękną, całkiem „operową” (nie: operetkową) p. Messalówną, jako bohaterką.

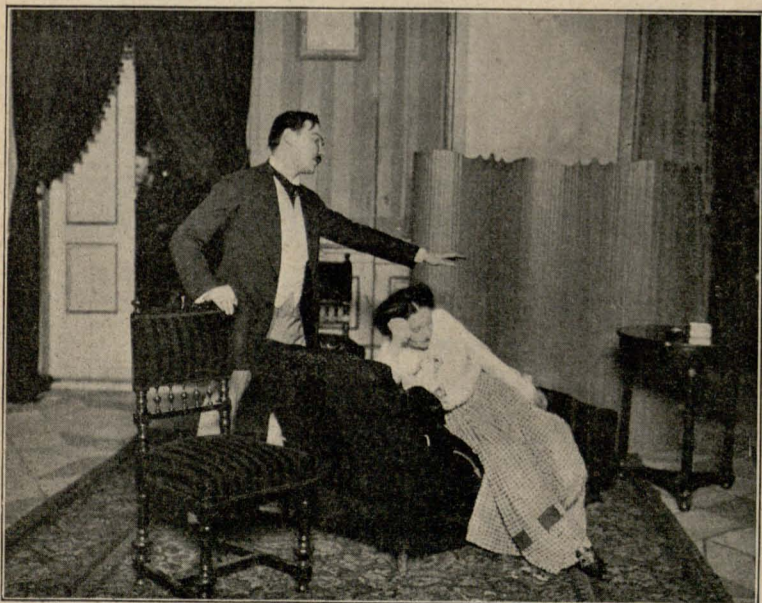
Tymczasem zaś p. Bellincioni, dobra nasza znajoma z poprzedniego sezonu, wystąpiła w operze, jako pani Butterfly, Tosca i Zaza, a zawsze wywierając magiczny wpływ na publiczność naszą. Ma p. Bellincioni szczęście do Warszawy. Śliwiński wreszcie dał ogromny koncert—chopinowski i, gdyby nocy starczyło, zagrałby całego Chopina, tak bez pamięci bisowała przepelniona sala. Śliwiński ma też szczęście do Warszawy. Świetne koncerty symfoniczne Fitelberga idą w dalszym ciągu; t. zw. historyczne (doskonałe) gromadzą mnóstwo osób w Filharmonii po południu co druga niedziela; a konkurs dramatyczny *Kuryera Warszawskiego*—dojrzewa. Rozstrzygnięty będzie 1-go stycznia i, jak słysząc, aż kilka sztuk ma dać gotowych do wystawienia scenom naszym. Byłby to piękny plon.

W sobotę ubiegłego tygodnia wystawiono w Teatrze Letnim głośną i pierwszej klasy, w swoim rodzaju, komedję „Król” Caillaveta i de Fiersa...

No, ale już nawet najwyszukańszym stylem stenograficzno-telegraficznym nie zdołam na tem miejscu zdać sprawy—o tej jeszcze premierze!

O niej tedy—za dwa tygodnie. „Król” ma długi żywot przed sobą.

CZESŁAW JANKOWSKI.



Scena z „Zazy”, opery Leoncavalla.



Akademia sztuk pięknych na przełomie.

Ukończony niedawno strajk uczniów krakowskiej Akademii sztuk pięknych, którzy zdecydowali się na użycie tak drastycznego środka, aby wy dobyć ostatecznie na światło dzienne panujące



Początek strajku. Adepti sztuki opuszczają szkołę, zdecydowani na wszystko.

w tej jedynej polskiej szkole fatalne stosunki, wbrew przepowiedniom pesymistów nie tylko nie naraził na szwank młodzieży, ale przyczynił się także bardzo znacznie do tego, że dzisiaj można już mieć uzasadnioną nadzieję, iż odtąd rozwój Akademii pójdzie drogą prawidłową i w takim tempie, jakiego wymaga samo życie i wytwarzane przezeń potrzeby.

Dzięki energii młodzieży akademickiej sprawa pomieszczenia i uposażenia Akademii weszła na porządek dzienny dyskusji publicznej. Szerokie zaś koła społeczeństwa naszego dowiedziały się o tych wszystkich zaniedbaniach dyrekcji Akademii, o których wtajemniczeni wiedzieli doskonale oddawna, których jednak inne, poza Akademią stojące czynniki nawet nie przeczuwały.

Nie przypuszczano np., że może istnieć w Krakowie wyższy zakład naukowy, którego uczniowie od lat bezskutecznie walczą o takie „innovacje”, jak wentylacja sal rysunkowych, kanalizacja gmachu, urządzenie wodociągów i umywalni w pracowniach, donajęcie kilku sal dla uczniów, tak aby każdy z nich przy rysowaniu lub malowaniu miał przynajmniej jeden metr kwadratowy przestrzeni dla siebie i aby nie był zniewolony wyłączyć na sztalgugi swego najbliższego kolegi, ile razy opanuje go zbożna chęć przyjrzenia się swojemu arcydziełu z odległości większej, niż długość jego artystycznego nosa...

Uczniowie domagali się także i innych wielkich rzeczy, które zdaniem dyrekcji wkraczają już bardzo daleko w dziedzinę potępienia godnego zbytku: np. marzyli oni o uzyskaniu, bodaj w piwnicy, lokalu, w którym mogliby sporządzać odlewy gipsowe, ostłonięci przynajmniej od wiatru i deszczu. Wyobrażali sobie także, że w średnio przyzwoitej szkole sztuk pięknych powinna odbywać się systematyczna nauka perspektywy, pejzażu, kucia w kamieniu dla rzeźbiarzy i t. p.

Wszystkie te jednak marzenia i wyobrażenia piętnowała dyrekcja stale, jako produkt nadmiernie wybujałych indywidualności artystycznych młodych adeptów sztuki, które też usiłowała stale sprowadzać do właściwej miary, już to nietaktownie łając śmiałków, już to z ojcowską czułością ich pocieszając, już to wreszcie

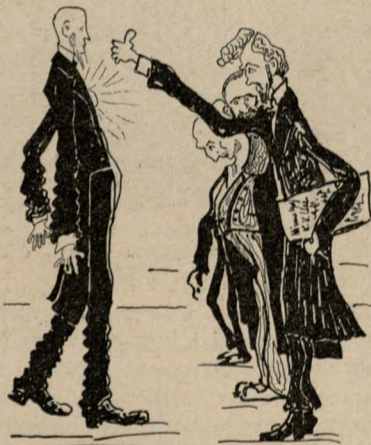
powołując się na „pana ministra”, który ma twarde serce i pusty worek, tak że na Akademię nic dać nie chce, ani może.

Wreszcie cierpliwość młodych wyczerpała się. Urządzili oni strajk. Wystali deputację do Wiednia, aby opłakany stan Akademii przedstawiła ministrom i posłom polskim. Wykonypowali wielki i umiejętny memoriał, w którym „czarno na białem” udowodnili, że Akademia krakowska jest systematycznie przez rząd krzywdzona, że, licząc obecnie przeszło 150-ciu uczniów, ma budżet o połowę mniejszy, niż czeska Akademia w Pradze, która za to ma o połowę mniej uczniów, wreszcie że główna przyczyna tego zaniedbania naszej uczelni artystycznej tkwi w dziwnej niechęci dyrektora Akademii do upominania się u wysokiego rządu o obfitsze dotowanie jej i w jeszcze dziwniejszej trosce o całość i zdrowie finansów austriackich, które, zdaniem dyrekcji, tak są w skutek aneksji Bośni i Hercegowiny wyczerpane, że nie wytrzymałyby już wydatku na wentylatory w Akademii krakowskiej.

Kiedy wybuchł strajk, dyrekcja pojechała wprawdzie do Wiednia, do pana ministra, ale pobyt nad Dunajem nie wpłynął widocznie na zmianę jej poglądów na stan finansów austriackich i na obowiązki lojalności wobec sędziwej monarchii, skoro edyktem, dyktowanym ze stolicy Strausów i Lehara, rozkazała strajkującej młodzieży krótko i stanowczo wracać natychmiast do szkoły, grożąc w przeciwnym razie zamknięciem jej i zarządzeniem nowych wpisów, które miałyby naturalnie na celu usunięcie wszystkich niespokoj-

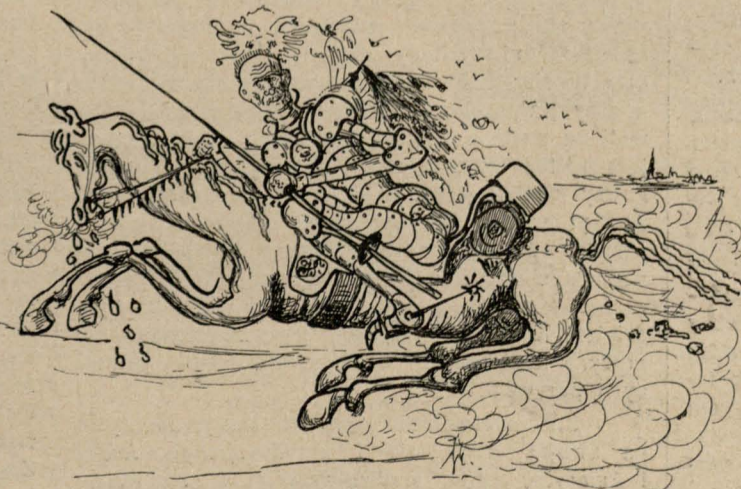
nych, a przede wszystkim pochodzących z Królestwa, to jest „obcokrajowców” żywiołów ze szkoły.

Na szczęście przedstawiciele rządu i ministrowie oświaty i skarbu, do których udała się osobiście deputacja strajkujących, okazali znacznie mniej skrupułów co do finansowej przyszłości Austrii, niż sama dyrekcja Akade-



Deputacja strajkujących uczniów akademii u ministra na posłuchaniu (autokarykatura).

mii, przyrzekając deputacji zaspokojenie słusznych żądań młodzieży, a posłowie polscy, zaznaczywszy, że dotąd nikt się do nich nigdy ze strony Akademii o poparcie dla niej się nie zwracał, obiecali



Dyrekcja akademii na „Amtsschimmlu”, czyli na rumaku urzędowym wyjeżdża do Wiednia. Nie-autokarykatura.

także uczynić ze swej strony wszystko, aby Akademia krakowska podniosła się pod względem uposażenia materialnego na poziom, odpowiadający jej poziomowi artystycznemu.

Tymczasem dyrekcja, nie przeczuwając widocznie, jak czarną niewdzięcznością odplaci jej rząd centralny jej synowską dbałość o dobro finansów austriackich i że łaskawie przyjmie deputację strajkujących, pośpieszyła z wykonaniem



— Czekażcie! — mówią i myślą strajkujący, przeczytawszy edykt dyrektorski z groźbą zamknięcia Akademii.

swej groźby i nowym edyktem Akademię zamknęła.

Ale minister oświaty okazał się więcej dbałym o polską Akademię, niż jej zwierzchnicy, i, rozumiejąc, że policyjnymi środkami i represjami nie zaspokajają się słusznych i ponad wszelką wątpliwość uzasadnionych żądań młodzieży, nakazał rozporządzenie dyrekcji o zamknięciu Akademii cofnąć i wyznaczyć strajkującym nowy termin do powrotu do normalnych zajęć. Równocześnie także i namiestnik, dr. Bobrzyński, ogłosił oficjalnie, że o zamknięciu Akademii nic mu nie było wiadome...

Tak więc dyrektor, nie zorientowawszy się w sytuacji, przypieczetował tylko swoją opinię, ustaloną już w kołach artystycznych oddawna, wobec czego nie pozostawało mu nic innego, jak wyjechać na dłuższy urlop. Minister mianował zastępcą jego profesora Aksentowicza, który też obecnie sprawuje w Akademii najwyższą władzę. Młodzież zaś czeka cierpliwie na spełnienie otrzymanych obietnic.

Stan taki długo jednak trwać nie może. System, stosowany dotąd, wedle którego Akademią rządził jeden przez rząd mianowany dyrektor, okazał się dla rozwoju Akademii niefortunny. Dlatego też dzisiaj zarówno grono profesorskie, jak młodzież, domagają się przede wszystkim nadania Akademii autonomii uniwersyteckiej i utworzenia instytucji senatu akademickiego z rektorem, na pewien czas obieranym, na czele.

Równocześnie z tą reformą pójść inne, jak obsadzenie wakujących i utworzenie nowych katedr, rozszerzenie gmachu, odpowiedniejsze wyposażenie go i t. d. W niedalekiej zresztą przyszłości Akademia otrzyma nowy gmach, pod który byłby się już także znacznie bardziej zbliżył do rzeczywistości, gdyby dyrektor uznał był za stosowne zająć się tą sprawą energicznie i odpowiednio.

Tak więc chmury, które od lat kilku gromadziły się coraz groźniej nad jedyną naszą Akademią sztuk pięknych, zaczynają teraz rozchodzić się powoli, odsłaniając jasny horyzont jak najpiękniejszych nadziei na jej przyszły rozwój.

Stypendya dla dziennikarzy.

Jest w Europie jeden tylko kraj, posiadający w budżecie swego ministerium oświaty specjalny fundusz stypendyjny dla dziennikarzy. Krajem tym jest Norwegia.

Niewielkie są środki, jakie otrzymują dziennikarze norwescy od rządu „na wyjazd zagranicę”, bądź co bądź jednak są. Nie o sumy tu zresztą idzie, ale o zasadę, o postawienie kwestyi, gdzieindziej jeszcze nie tkniętej, na gruncie właściwym.

Dziennikarz, z natury swojego zawodu, musi mieć nie tylko szeroki, ale zarazem, o ile to możliwe, gruntowny pogląd na świat. Umysł jego ogarniać musi nie tylko życie własnego kraju, ale życie państw i narodów ościennych. Z życiem tem w stopniu dostatecznym nie zapozna go nigdy książka. Trzeba wiele urzędzeń studyować na miejscu, aby je właściwie ocenić, aby nabrać należytej orientacji w sferze aspiracji, dążeń i wysiłków twórczych przyjaciół i wrogów.

Dziennikarze całego świata rozumieją to dobrze i sami starają się o to, aby jak najwięcej podróżować, jak najwięcej *poznawać*. Podróże te jednak, z konieczności, dla ludzi, których byt opiera się na dochodach, czerpanych z pióra, są trudne. Trwają one krótko i przedsiębrane są zazwyczaj dorywczo, w połączeniu z wycieczką „po zdrowie” do jakiejś miejscowości kuracyjnej poza krajem lub z uszczerbkiem czasu, przeznaczonym na wypoczynek. Stąd korzyści z takich podróży są bardzo niewielkie. Zupełnie inaczej, jeżeli ktoś wyjeżdża umyślnie dla studyów i z całą swobodą poświęca swój czas na te studia. Uczynić to jednak mogą tylko ludzie zamożni, albo—stypendiści.

Jeżeli sprawę tę przeniesiemy teraz na tło naszych stosunków, to okaże się, że wśród dziennikarzy polskich niema ani jednej, ani drugiej kategorii „podróżujących dla studyów”. Wśród publicystów polskich na palcach można policzyć ludzi, którzy dobrze znają stosunki angielskie, francuskie, niemieckie, austriackie i włoskie, nie mówiąc już o stosunkach amerykańskich. Odbija się to, oczywiście, na charakterze wielu informacji, czerpanych przez prasę ze źródeł obcych, a nie poddawanych na miejscu ocenie krytycznej.

Tymczasem właśnie dziennikarze polscy, ze względu na międzynarodowy charakter kwestyi polskiej, na niewątpliwy fakt, że kwestya ta wchodzi w zakres polityki czynnej wszystkich wybitniejszych mocarstw europejskich i w chwili stanowczej bezwarunkowo zaważy na szalach, powinni wszechstronnie i głęboko badać życie obce w zakresie nie tylko jego zjawisk kulturalnych, ekonomicznych i społecznych, ale i nawszkroś politycznych.

Z tego względu stypendya dla dziennikarzy polskich, przeznaczone na studia zawodowe zagranicą, byłyby w naszych stosunkach potrzebniejsze bodaj, niż w norweskich.

Tymczasem stypendyów takich nie mamy, jak wogóle nie mamy w dostatecznej ilości stypendyów naukowych, literackich i artystycznych.

Jeżeli jednak uczonego lub artystę ma jeszcze pewne widoki na otrzymanie skromnego chociaż zasiłku na wyjazd do ognisk kultury i cywilizacji zachodnio-europejskiej, to literat i dziennikarz pozabawieni są już zgoła nadziei na to.

Żadna z naszych instytucji zawodowych: ani Kasa literacka, ani Towarzystwo literatów i dziennikarzy, nie posiadają dotąd funduszu na podobny cel. O stworzenie takiego funduszu powinnyby zatem zatroszczyć się nie tylko Zarządy tych towarzystw, ale i szersze koła społeczeństwa, dla których rozwój prasy polskiej i należyte spełnianie przez nią jej trudnych i odpowiedzialnych wobec przyszłości zadań nie są rzeczą obojętną.

Z. D.

Ludwik

Kossuth.

Jedna z najgłośniejszych postaci pamiętnej doby rewolucyjnej z przed lat sześćdziesięciu przypominała się światu. Ciało Kossutha, złożone przed piętnastu laty w prowizorycznym grobie, przeniesiono z monarszymi honorami do wspaniałego mauzeolium, wybudowanego z groszowych składek całego narodu węgierskiego.

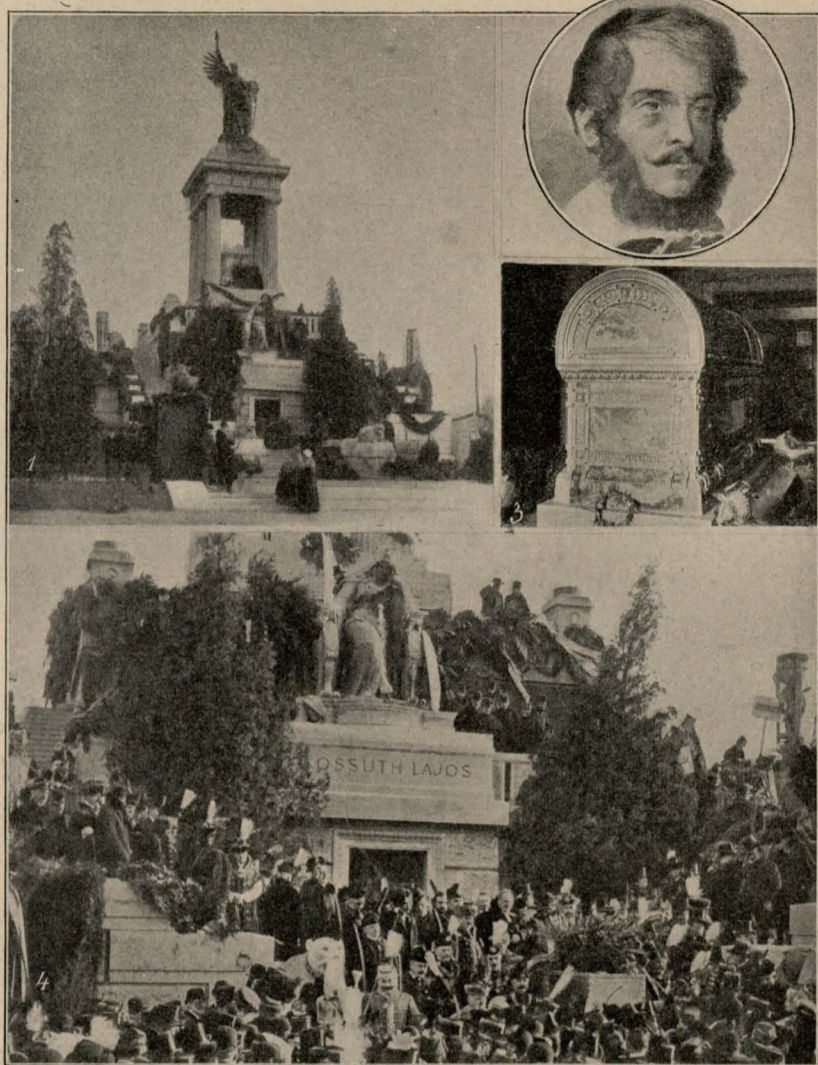
Czem dla tego narodu był Ludwik Kossuth, może wiecie jedynie ten, który nie tylko zna historię ostatniego stulecia, ale i widzi nieustający kult imienia wielkiego Dyktatora. W najmniejszej gminie węgierskiej znajduje się garść ludzi, przejętych jego ideami, którzy zdobią swą wioskę pomnikiem bohatera, odlanym w spiżu, lub wykutym w marmurze. W każdym miasteczku najładniejszy plac i najwspanialsza ulica noszą imię Ludwika Kossutha. Największe dwie partie polityczne nazywają się partjami kossutowskimi.

To wszystko są zewnętrzne oznaki kultu, nie szerzonego właściwie przez nikogo, lecz wypływającego niejako z pieśniarskiej legendy powstańczej, która poszła w lud i utrzymała się tam do dnia dzisiejszego, czerpiąc soki żywotne z tęsknot i marzeń narodowych, sformułowanych najlepiej i najdosadnie przez Kossutha. I to właśnie jest podstawą tego dostojnego stanowiska, jakie zajął w hierarchii bohaterów ojczystych. Nie przyniósł nowego programu politycznego, nie przemycił do kraju hasła zagranicznych, lecz wsłuchał się dobrze w tętno życia swego narodu i głośno, jasno i zwięźle wypowiedział to, co czuła wielka dusza całego społeczeństwa.

Nie był wróżem, nie był prorokiem, a jednak wskazał ziomkom przyszłość, wytyczył drogę i oświecił ją zniczem swojego geniuszu. W potokach krwi i w pożodze odrodził naród, chylący się ku upadkowi, naród, który zwątpił już o sobie. Gdyby nie wojna niepodległościowa w roku 1848/9, gdyby nie tysiące trupów na pobojuwiskach, nie szubienice, więzienia, konfiskaty i biczowania, nie byłoby dziś Węgrów, nie byłoby dziś Węgier. Niemczyzna oparłaby się wygodnie o góry Karpackie, a madziarszczyzna ginęłaby powoli na pustach alföldzkich. Zacięta walka, trwająca półtora roku i zakończona klęską Węgrów, którzy musieli złożyć broń przed sprzymierzeńcem Austrii, wstrząsnęła do głębi całym jestestwem narodu, oddzieliła zdrowe ziarno od plew i popchnęła niezupełnie jeszcze zgangrenowane społeczeństwo na drogę odrodzenia. To wszystko było dziełem Kossutha, wynikiem jego niezmordowanej pracy, koniecznym następstwem jego genialnych porywów.

Świetny mówca, porywał tłumy, nie tylko na swojej ziemi, ale i w Szwajcaryi, Anglii i Ameryce, gdzie przyjmowano go z niebywałym zapalem i stawiano narówni z Waszyngtonem. Ostatnie dni swoje pędził na dobrowolnym wygnaniu w Turynie, skąd sprowadzono jego zwłoki

ODSLONIĘCIE MAUZOLEUM KOSSUTHA W BUDAPESZCIE.



1) Mauzoleum. 2) Ludwik Kossuth. 3) Sarkofag z trumną Kossutha, u spodu korona cierniowa, przywieziona przez Polaków na pogrzeb. Korona ta leżała na trumnie w grobowcu. 4) Fgzekwie, odprawiane nad trumną Ludwika Kossutha przez biskupa laterańskiego u wrót mauzoleum. Po lewej stronie deputacya Turynu i Rjeki, delegat turecki Riza Tewfik bej, prezydum izby poselskiej, prezydum miaata, duchowieństwo ewangelickie, postowie obu Izb i hajducy komitatowi.

30 marca 1894 roku do Budapesztu, gdzie odbył się pogrzeb, jakiemu podobnego ani przedtem, ani potem nie widziała Europa. Obecnie zjechały się znów całe Węgry, aby być świadkiem przeniesienia relikwii Kossutha do mauzeolium, wzniesionego na cmentarzu kerepeskim.

Tłumy nieprzejrzane otoczyły zwartem kołem owe kilkanaście tysięcy deputatów wszystkich istniejących instytucji węgierskich, którzy brali czynny udział w uroczystości. Uroczystość ta nie różniła się prawie niczem od obchodzonych na Węgrzech świąt narodowych, jednakże w każdym przemówieniu można było wyczuć ten dziwny ton, w jakim Węgrzy mówią tylko o Kossucie i o nikim więcej. Inaczej też, niż zwykle, brzmiała ponura pieśń kossutowska, śpiewana przez niezliczone masy nad trumną bohatera.

Trumnę tę włożono w bogaty sarkofag, a na nim złożono jeden, jedyny wieniec, wybrany z tysiąca: cierniową koronę, przywiezioną niegdyś przez Polaków na pogrzeb Kossutha. Cierniowa ta korona leżała przez piętnaście lat w grobie. Teraz przeniesiono ją wraz ze zwłokami do mauzeolium na wieczną pamiętkę dobrego stosunku, jaki łączył wielkiego Dyktatora z naszym narodem, którego był zawsze szczerym przyjacielem. Przyjaźń tę zachował po sam koniec życia, interesował się żywo każdą sprawą polską, a jak się do naszych dążeń odnosił, świadczy choćby serdeczny list, napisany na pięć lat przed śmiercią do „Stowarzyszenia Polaków” w Budapeszcie. Dziewięćdziesięcioletni starzec z młodzieńczą żywiością wspominał te chwile, które przepędził w towarzystwie dzielnych legionistów polskich, a marzeniem jego były nie tylko wolne Węgry, lecz Zjednoczone Włochy i niepodległa Polska. Dotychczas spełniło się dopiero jedno pragnienie Kossutha.

CZESŁAW ŁUKASZKIEWICZ.

Jubileusz

„Tygodnika Ilustrowanego“.

W sobotę ubiegłą 11 b. m. pismo nasze obchodziło wielkie święto: pięćdziesięciolecie istnienia swego.

W dniu tym wyszedł był z druku ów zeszyt *Tygodnika*, poświęcony historii pisma i dziejom minionego półwiecza, zeszyt, ofiarowany „tym wszystkim, dla których drogiem jest imię i dusza Polaka“.

Z uczuciem radości szczerzej i z zadowoleniem, płynącym ze spełnionego obowiązku, patrzyliśmy na ten numer, zawierający streszczenie pracy poprzedników naszych i naszej. Oby świadczył on w najdłuższe lata o gorącym ukochaniu kraju, rodaków i wszystkich prawych, szlachetnych ludzi-braci!

W dniu święta naszego redakcja *Tygodnika* przybrała wygląd uroczysty. Zawieszono zwykle trudy codzienne, a w pokojach, w których wre zazwyczaj gorączkowa publicystyczna robota, brzmiał rozgwar i śmiechy drużyny, związanej węzłami wspólnej *Tygodnikowej* pracy.

Zebrał się tu bowiem cały sztab redakcyjny wraz z dzielnym pocztym pracownic i pracowników administracji naszego pisma.

Mieliśmy też w gronie koleżeńskim dawnych, wypróbowanych przyjaciół *Tygodnika*, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć można: Prusa, Reymonta, Cz. Jankowskiego, Dębickiego.

W czasie śniadania wśród poufnej ożywionej pogawędki Zdzisław Dębicki wznosił toast na cześć *Tygodnika* w ręce p. Roberta Wolffa i naczelnego redaktora, dra Józefa Wolffa, podnosząc koleżeńskość i uczynność tego ostatniego.

W serdecznej odpowiedzi Józef Wolff zaznaczył, jak wiele *Tygodnik* zawdzięcza współpracownikom swoim i wznosił toast za ich zdrowie, pijąc do jednego z najstarszych i najznakomitszych przyjaciół pisma, B. Prusa, następnie zaś wznosił toast za zdrowie najbliższych współpracowników, współredaktora Artura Oppmana, i kierownika artystycznego, Józefa Holewińskiego.

Czynny i ruchliwy wydawca *Tygodnika*, p. Jan Gebethner, z powodu długotrwałej choroby nie mógł uczestniczyć w tej sympatycznej uczcie.

Wręczeniem Józefowi Wolffowi pamiątkowego numeru w pięknej pergaminowej oprawie i przemówieniem p. Józefa Holewińskiego zakończyła się ta pierwsza część naszego dnia jubileuszowego.

Po południu od godziny 5-tej przez salony redakcji *Tygodnika* przesunął się kwiat inteligencji warszawskiej. Gospodarzyli pp. Robert Wolff, Józef Wolff, Artur Oppman, Józef Holewiński, Ludwik Włodek i Henryk Galle, a wśród mnóstwa osób, składających życzenia, znaleźli się najwybitniejsi przedstawiciele literatury, nauki, sztuki, a także ziemianie, lekarze, adwokaci, przemysłowcy i kupcy.

Przy starym węgrynie i przy czarnej kawie mile zbiegły chwile do późnego wieczora, a jubileuszowy ten raut *Tygodnika* zespolił myśli i serca drogich naszych gości; *Ad multos annos*, któreśmy po tylekroć słyszeli, pozostanie, jako nagroda i zachęta w pamięci naszej wdzięcznej.

Z głosów prasy, z depech i z listów, których otrzymaliśmy mnóstwo, zdamy sprawę za tydzień, teraz zaś dziękujemy z serca wszystkim, umięjącym ocenić obywatelską służbę pisma, którego my tylko czasowymi sługami jesteśmy.

Modele aeroplanów.

Od tygodnia przeszło otwarta została w Warszawie wystawa modeli aeroplanów jedynego dotąd wynalazcy polskiego w tym kierunku, p. Czesława Tańskiego, który od szeregu lat poświęca się pracy na polu awiatyki.

Z pośród wystawionych modeli na największą uwagę zasługują następujące: *helikopter* (przyrząd służyący jedynie do wznoszenia się w górę, jakkolwiek przy zastosowaniu pewnych zmian w konstrukcji możliwe jest i szybowanie w przelocie), *planeur* (którego model jest zaopatrzony w sylwetkę lotnika), służyący do powolnego spadania z wysokości na dół, wreszcie aeroplany wła-

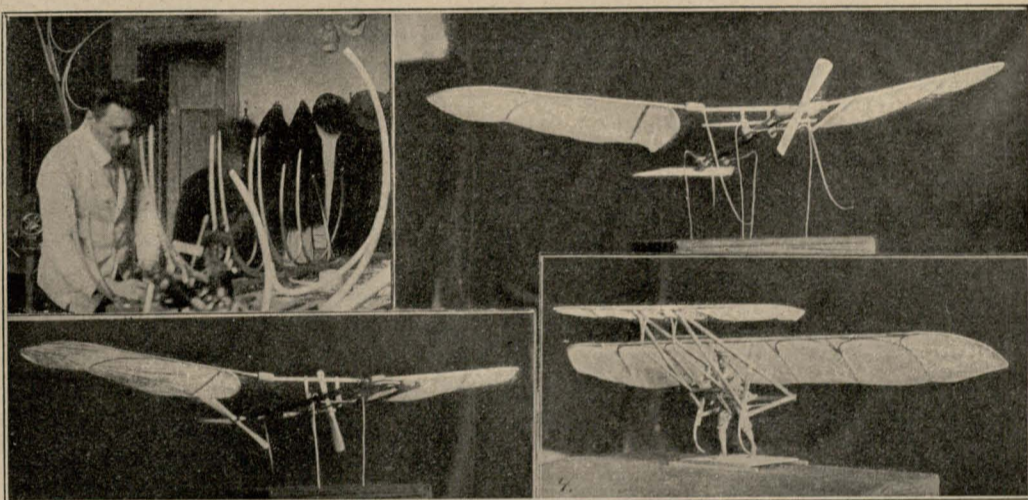
ściwe. Aeroplany te należą do typu monoplanów. Od innych różnią się tem, że nie posiadają steru; zmianę kierunku powoduje opuszczanie lub podnoszenie części skrzydeł.

Modele pochodzą z różnych okresów czasu i są stale ulepszone; ostatni typ przedstawiony jest na dużym rysunku. Wykonanie modelu tego w naturalnej wielkości ma kosztować wraz z motorem 3,500 rub. Byłoby rzeczą pożądaną, ażeby suma ta znalazła się i aby w ten sposób można było naprawdę wypróbować aeroplan.

Dotychczas próby małych modeli wypadły dobrze. Jako źródło ruchu, służyła tu skręcona guma, która przez rozkręcanie się wywoływała ruch w powietrze rzuconego aeroplanu. Lot trwał od pół do półtorej minuty.

Brak miejsca nie pozwala nam wchodzić w bliższe szczegóły. Zaznaczymy więc tylko na zakończenie, że wystawa jest bardzo ciekawa, tem ciekawsza, iż autorem pomysłów jest nie technik, lecz artysta malarz, który nie wahał się poświęcić wielu lat życia pozornie nieziszczalnemu zadaniu.

POLSKA WYSTAWA AWIATYCZNA.



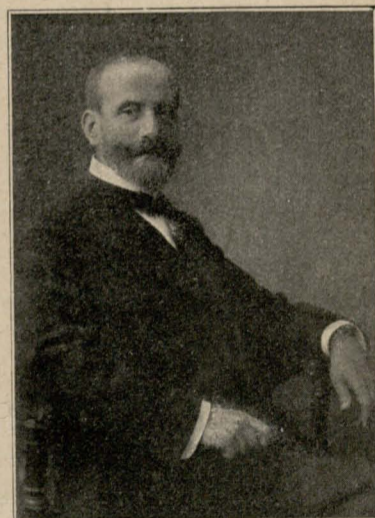
1) Czesław Tański przy pracy. 2 i 3) Modele aeroplanów. 4) Planeur z modelem lotnika.

Z kolejnictwa krakowskiego

W tych dniach ustąpił ze stanowiska dyrektora kolei państwowych w Krakowie radca dworu, Józef Horoszkiewicz, aby w dobrze zasłużonym spokoju zbierać owoce pracowitego życia. Wybitny fachowiec i znawca spraw kolejowych, jest radca Horoszkiewicz jedną z najpopularniejszych osobistości w Krakowie, gdzie od roku 1898 zarządzał sprawami kolejowymi. Liczne, kilka tysięcy osób liczące grono jego podwładnych żywi dlań szczerą sympatyę i wdzięczność za bezstronne i sprawiedliwe, a zawsze wielką życzliwością dla podwładnych nacechowane postępowanie. A także miasto i kraj mają powody do żalu szczerze z powodu ustąpienia dyrektora Horoszkiewicza, ponieważ, jako dobry obywatel i patriota, starał się on zawsze użyć swych wielkich wpływów u władz najwyższych dla dobra kraju i jego ludności, już to starając się o nowe inwestycje dla kolejnictwa krajowego, już to dążąc do tego, aby przemysł krajowy otrzymywał jak największy udział w dostawach dla kolei. Nowym dyrektorem został mianowany dotychczasowy zastępca radcy Horoszkiewicza, radca dworu, Włodzimierz Kostrakiewicz Zborowski. Również jak jego poprzednik, na tem wysokim i bardzo odpowiedzialnym stanowisku jest dyrektor Zborowski znakomitym technikiem i znawcą spraw kolejowych. Karyerę swoją zawdzięcza on wyłącznie swym zdolnościom, niestrudzonej pracowitości i sumienności, dzięki którym ze skromnego stanowiska inżyniera kolejowego wybił się stosunkowo szybko na dzisiejsze swoje stanowisko, zajmując już przedtem ważny postereunek naczelnika warsztatów kolejowych w Nowym Sączu. W mieście tem brał dyr. Zborowski czynny udział w pracy obywatelskiej, piastował mandat do rady miej-



Józef Horoszkiewicz, dotychczasowy dyrektor kolei żelaznych w Krakowie.



Włodzimierz Kostrakiewicz Zborowski, nowy dyrektor.

skiej, a przez kilka lat z rządu sprawował zaszczytny urząd prezesa tamtejszego Towarzystwa Szkoły Ludowej. Gorąco kochający kraj swój i naród, dyrektor Zborowski rozwinię niewątpliwie na nowem swoim stanowisku i wocną i pożyteczną dla kraju działalność, co przyjdzie mu tem łatwiej, że wśród przedwładnego sobie personelu cieszy się on serdeczną sympatyą, jako przełożony sprawiedliwy i łatwo dla najmniejszych przystępny. Dla Krakowa nowy dyrektor kolei może zrobić bardzo wiele, ponieważ niebawem rozpocznie się budowa nowego wielkiego dworca kolejowego, przyczem obywatelskie zrozumienie i odczucie potrzeb kraju i miasta, cechujące tak wybitnie nowego dyrektora, przyniesie mogą gromowi podwawelskiemu dużo realnego pożytku.

UCZESTNICY OBCHODU JUBILEUSZOWEGO SŁOWACKIEGO W DORPACIE.



W dniu 4 grudnia r. b. o była się w Dorpacie uroczystość jubileuszowa setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego, staraniem stowarzyszenia młodzieży akademickiej „Zjednoczenie”. W uroczystości tej brały udział także stowarzyszenia: „Lutycy”, Koło teologów, „Lechicy” i korporacja „Wenedya”.

Nasze ryciny.

Zamieszczona w niniejszym zeszycie Tygodnika reprodukcja obrazu Włodzimierza Nęlcza przedstawia jeden ze świetniejszych epizodów krótkich dzieł naszej marynarki wojennej w XVII wieku. W tych dziejach lata 1626-1628 były dla floty naszej najpomyślniejsze. Od lat wielu toczyła się uporczywa walka ze Szwedami, która krężowi polskiemu wiele przysporzyła blasku i chwwały, świecącej wiekopomnym niębem na stali zwycięzców z pod Kircholmu, choć korzyści politycznych nie przyniosła. Król Zygmunt postanowił zwyciężyć przeciwnika na jego własnym gruncie: uzbroił własnym kosztem flotę i wysłał ją, pod wodzą admirała Cypelmana Arenda, na fale Bałtyku. W dn. 28 listopada 1627 roku nasze okręty uderzyły pod Gdańskiem na flotę szwedzką i zniosły ją niemal doszczętnie. Admirał szwedzki, Mikołaj Hoenschild, poległ, niedobitki nieprzyjacielskie schroniły się do Pilawy. Tę właśnie chwilę dziejową obrał sobie utalentowany artysta za przedmiot do swego utworu, który odznacza się wlelu zaletami wykonania artystycznego.

Ze sztuki.

Dnia 25 stycznia 1910 r. nastąpi otwarcie wystawy obrazów kilku grup malarzy: polskich, czeskich, morawskich i rusińskich w Kijowie. Wystawa będzie miała charakter ogólny, i nie wymagana jest przynależność do któregoś z istniejących związków artystycznych polskich. Zgłoszenia przyjmuje i daje: wyjaśnienia, oraz na żądanie dostarcza formularzy L. Kowalski, ul. Starowiślna 12 I. p. w Krakowie.

Nagrody Nobla.

Dnia 10 b. m. przyznane zostały dorocznym zwyczajem nagrody Nobla za najdonioślejsze dzieła w dziedzinie nauki i literatury. W zakresie chemii przyznano nagrodę znakomitemu badaczowi, twórcy chemii nowoczesnej, Wilhelmowi Ostwaldowi, długoletniemu kierownikowi instytutu fizyczno-chemicznego w Lipsku, autorowi licznych dzieł specjalnych wysokiej wartości naukowej,

dowi, długoletniemu kierownikowi instytutu fizyczno-chemicznego w Lipsku, autorowi licznych dzieł specjalnych wysokiej wartości naukowej,



1) W Ostwald. 2) T. Kocher. 3) Selma Lagerlöf. 4) G. Marconi. 5) F. Braun. 6. Beernaert. 7) d'Estournelles de Constant.

Z TEATRU LWOWSKIEGO.



Scena z komedii Wł. Perzyńskiego „Szczęście Frania”.

DOŚWIADCZENIA D-ra OCHOROWICZA.



Medyum podnosi w górę dzwonek bez dotykania rękami.

z pomiędzy których „Podręcznik chemii ogólnej” zdobył sobie sławę europejską. Nagrodę medycyny otrzymał Teodor Kocher, jeden z najwybitniejszych chirurgów doby współczesnej, pracujący do dziś dnia w Bernie, swem mieście rodzinnem. Dwoma laureatami w zakresie fizyki są w tym roku: Guillemo Marconi, głośny wynalazca telegrafu bez drutu, jednej z najcenniejszych zdobyczy naukowych ostatniej doby, oraz Ferdynand Braun, profesor uniwersytetu w Strasburgu, zajmujący się badaniem nad przemianą energii chemicznej na elektryczną. Nagrodę literacką wreszcie zdobyła w tym roku głośna powieściopisarka skandynawska, znana i u nas z kilku wybornych przekładów, Selma Lagerlöf, autorka następujących powieści i nowel: „Gösta Berling”, „Legends i opowiadania”, „Legends o Chrystusie”, „Smarb Herma Arne”, „Cudowne podróże małego Nilsa Holgersona z dzikimi gęśmi”. Jednocześnie w Chrystyanii przyznano nagrodę pokojową: otrzymali ją dwaj rzeźnicy „związku międzyparlamentarnego”: b. prezes ministrów belgijskich, Beernaert, i senator francuski, d'Estournelles de Constant.

Z teatru krakowskiego.

Drugą rocznicę śmierci Wyspiańskiego uczcił teatr krakowski wystawieniem „Sędziów”. W ar-



Pani Wysocka w roli Jewdochy.

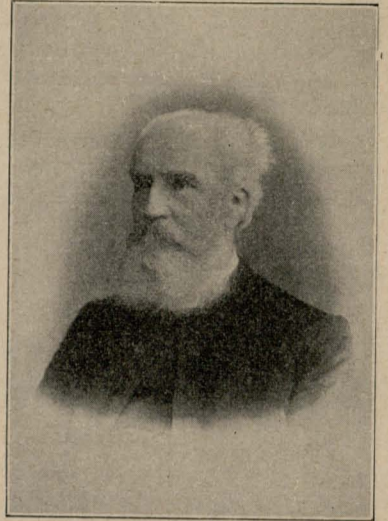
tystach krakowskich znalazły znane postacie utwora wykonawców pierwszorzędnych. W ognisku dzieła stanęły na scenie krakowskiej panie Solska i Wysocka. Pierwsza, jako Joas, wywarła głębokie wrażenie szczerością swego liryzmu. druga zaś, jako Jewdocha, wstrząsnęła wprost widzami, tak potężną grozą prawdy wydobyla z tej roli, wzbogacając swój i tak już niepospolicie bogaty repertuar nową, zupełnie pierwszorzędą kreacją.

Z PRASY.

Należy się tutaj sympatyczna wzmianka wychodzącemu od początku r. b. dwutygodnikowi p. t. „Przegląd krytyki artystycznej i literackiej”, którego kierownictwo spoczywa w ręku p. Józefa Rozpry-Krobickiego. Pracują tam przeważnie młode pióra, to też przynoszą to, co tylko młodość dać może: śmiałość, rozmach, tężyznę, nie oglądanie się na żadne autorytety, świeżość myśli i poglądów. Jest to ten zakwas, bez którego prze-

stałaby urastać kultura narodowa. Nie powinien więc „Przegląd krytyki” pozostać głosem, wołającym w... głębokiej piwnicy.

ZMARLI.



Ś. p. pastor William Ellis, dr. teologii, długoletni przełożony gminy anglikańskiej w Warszawie.

NEKROLOGIA.

DOKTÓR FRANCISZEK BUHAREWICZ zmarł dnia 6-go października 1909 roku w Kiszyniowie. Urodzony na Litwie w Mińsku, gdzie kształcił się



pod kierunkiem słynnego pedagoga, Ignacego Piotra Legatowicza, w rodzinnym mieście skończył gimnazjum i udał się na studia do Moskwy, gdzie wstąpił na wydział medyczny. Skończywszy w Moskwie wydział medyczny, jako młody lekarz, wyruszył na stałą posadę doktora chorób dziecięcych przy dwóch zakładach naukowych męskich w Kiszyniowie. Na tem stanowisku był z górą 35 lat; ostatnie lata spełniał obowiązki doktora sanitarnego w Kiszyniowie. Znany był w szerokich kołach stolicy Bessarabii, jako czynny członek Rzymsko-katolickiego Towarzystwa Dobroczynności i długoletni syndyk kościoła. Cześć Jego pamięci!

W. Golińska

PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI, PERFUMY, WACHLARZE, SZPIŁKI.

„ŚMIECH” Tygodnik humoru ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

MEBLE STYLÓWE M. KALMUS MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

WARSZAWIANKA



F. JANKOWSKIEGO.

E. MODZELEWSKI - WARSZAWA

Fotograf Filharmonii „ATELIER MODERNE” Marszałkowska 81B, telefonu 30.52 Marszałkowska 131, telefonu 31.69.

TOW. S. I. CZEPELEWIECKI i S-wie

poleca: Mydła, perfumy „ANTIQUE”, wody koloń. kwiat. Mydła, perfumy „GOÛT d'OR”, wody koloń. kwiat. Mydła, perfumy „IDEAL”, wody kolońskie kwiat. Mydła, perfumy „CAPRICE”, wody kolońskie kwiat. oraz NOWĄ WODĘ KWIATOWĄ w 20 zapachach.

BIELIŻNA MĘSKA I DAMSKA

K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

NA GWIAZDKĘ.

II.

Kilka jeszcze tegorocznych wydawnictw gwiazdkowych firmy Gebethnera i Wolffa zasługują na wyróżnienie. Do takich imprez, szczęśliwie pomyślanych i — wykonanych, należy rozpoczęte już w r. z. wydawnictwo p. *Zofii Bukowieckiej*, mające na celu spopularyzowanie dzieł Polski wśród młodzieży i ludu. Z zamieszczonych trzech ukazały się dotąd dwie części: *Jak Piastowie budowali Polskę* (1908, cena kop. 60, w opr. kart. kop. 80), oraz *Jak Polska za Jagiellonów urosła od morza do morza* (1909, cena kop. 80, w opr. kart. rb. 1), odtwarzające żywo i barwnie dwie epoki naszej historii. P. Bukowiecka jest istotnie powołana do takiego dzieła: posiada duży dar narracyjny, umie zająć, chwycić za serce, przemówić do przekonania dobitnie, a serdecznie. Ma przytem jeszcze jedną zaletę: nie ogranicza się do dziejów zewnętrznych państwa, ale uwzględnia też szeroko stosunki zewnętrzne: stan ekonomiczny narodu, urządzenia społeczne, podział na stany i wzajemne ich ustosunkowanie i t. p. Młody czytelnik, nawet posiadający pewne ogólne wykształcenie historyczne, może wiele z tych książek skorzystać.

Inna znowu popularyzatorka, p. *Jadwiga Warnkówna*, dała nam tym razem rzecz podróżniczą p. n. *Wśród Skogów Szwecji i Fiordów Norwegii* (cena rb. 1.50), przeznaczając ją za-

walczyć w szeregach „białych twarzy” z czerwonoskórymi, puszczać się na odkrycie tajemniczego wnętrza Afryki, lub jednego z biegunów.

Te dziesięć tomów powieści Verne'a będzie to niewątpliwie jeden z najpiękniejszych upominków „gwiazdkowych”.



Winieta okładowa do „Niespodzianki”. K. Gorski.

Z innych „wznowień” firmy Gebethnera i Wolffa należy podkreślić jeszcze następujące: w jedenastym wydaniu ukazującą się *Niespodziankę, zbiór powiastek dla małych dzieci* jednej z pierwszych autorek polskich dla dzieci, *Pauliny Mrakowowej*, (cena w kart. kop. 75), w nową, wytworną szatę przybraną, z przepiękną winietą okładową i rysunkami K. Gorskiego, książkę, która i dziś nic nie straciła na swej wysokiej wartości pedagogicznej: dalej *Teresy Jadwigi* powieść historyczną p. t. *W słońcu*, na tle epoki saskiej, ukazującą się już w drugim wydaniu, a również nie skąpą w ilustracje (cena kart. rb. 1.20, w opr. rb. 1.50), wreszcie—dla młodszych dzieci—zbiór powiastek z dziedziny przyrody, życia rodzinnego, oraz treści etycznej *Cecylii Niewiadomskiej*, p. t. *O czem Zośka nie wiedziała* (wyd. drugie, cena w opr. kart. rb. 1, z czterema rysunkami kolorowymi K. Gorskiego). Na pochwałę tej ostatniej książki dodać należy, że jest ona wydana prawdziwie artystycznie, mile nęci wzrok przepięknymi ilustracjami.

* * *

Długi szereg mniejszych i większych książeczek dla młodszej dlatwy i starszej młodzieży, przygotowała ruchliwa zawsze firma M. Arcta.



Winieta okładowa do „Stacha Wojaka”.

A jest między nimi kilka wszak niepowszednich. Ot taki np. *Stach Wojak, opowiedziany „dzielnym chłopakom”* przez *Przyjaciela Kazimierza* (cena rb. 2).

Duża książka, w formacie albumowym, pełna pięknych, prawdziwie artystycznych ilustracji, czarnych i kolorowych, na mocnym papierze, z wytworną okładką... Aż w oczach się ćmi! A cóż

dopiero, jak się „dzielne chłopaki” dobią do treści, jak przeczytają o przygodach tego „Stacha Wojaka”, co niczego i nikogo się nie bał: ni Tartarów—drewnianych, ni olbrzyma z piarnatów i poduszek, ni potwora, z różnych części garderoby zrobionego, ani... indyka nawet! To mi męstwo nielada!..

Wogóle firma M. Arcta wydała w bieżącym sezonie kilka pięknych książeczek obrazkowych dla małych dzieci w dużych formatach. Szkoda wielka, że obrazki te nie wyszły z pod pendzla i ołówka polskich artystów, ale—są, bądź co bądź, piękne, kształcą smak estetyczny dzieci, a to rzecz najważniejsza.

Ot, taki wielki kolorowany elementarz, p. t. *A B C czytać chcę*, ze zręcznymi wierszykami *Leona Rygiere* (cena w opr. rb. 1.70), z pięknie odrobionymi ilustracjami, ileż da uciechy obdarowanym maleństwom!

Albo taka *Zochna w krainie śnieżek*, zdołana w dziesięć obrazków kolorowych, barwnych i prawdziwie artystycznych, opisanych gładkim wierszem przez *Tadeusza Pudłowskiego* (cena rb. 1.50), nie tylko zajmie oko dziecięce swą pię-



Ilustr. do „Zochny w krainie śnieżek”.

kną zewnętrzną, ale i zaciekawi treścią czarodziejską, przygodami Zochny w krainie Zimy, w doborowym gronie Śnieżek i t. p.

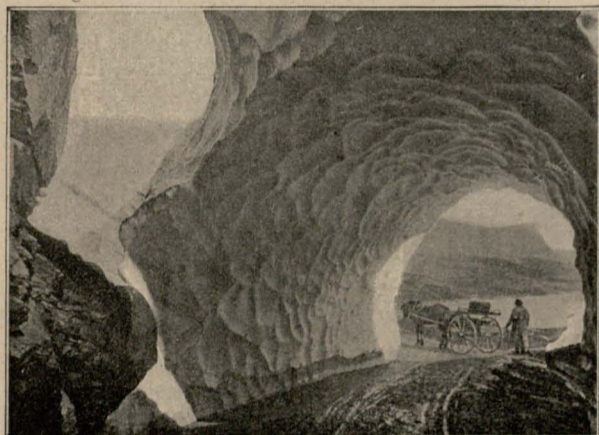
Inna z książek obrazkowych, kolorowanych, p. t. *Calineczka*, opowiada, według jeonej z baśni Andersena, a wierszem *Leona Rygiere*, o małej dziewczynce Calineczce, co wyrosła w kwiecie lilii żółtej i na wiele wystawiona była niebezpieczeństw, zanim pojął ją za żonę piękny król w białej lilii kielichu (cena rb. 1.60).

I to jeszcze nie wszystko: pomiędzy bowiem wydawnictwami tegorocznymi M. Arcta znajdziemy dwie jeszcze tego rodzaju książeczki: jedną z nich napisał wierszem popularny poeta *H. Łaskowski (El)*; nosi ona tytuł *Oleś u króla Zimy* i opowiada o przygodach analogicznych do tych, które widzieliśmy w powiastce: „Zochna w krainie śnieżek”, wprowadza małych czytelników w świat zaczarowany, z fantastycznymi postaciami króla Zimy, stryja Szronu, królowny Wiosny i t. d. (cena rb. 1.60).

Czarodziejski również charakter ma opisana wierszem przez *T. Pudłowskiego* baśń p. t. *O Wiochnie-Wiośnie i o Chłodzie - Królewiczu* (cena rb. 1.60, w sposób fantastyczny i poetycki zarazem odtwarzająca chwilę zmagania się mrozów zimowych z pierwszymi podmuchami wiosny, którym towarzyszy budzenie się natury do nowego życia.

Słowem, jest czem oczy napaść i posłuchać, jak mamusia przeczyta, i samemu literki poskładać! Aie to zaledwie cząstka tego rocznego dorobku wydawniczego firmy; czem obdarzyła ona starszych nieco i dorastających czytelników, o tem pomówimy innym razem.

HENRYK GALLE.



Tunel śniegowy. Ilustr. do J. Warnkówny „Wśród Skogów Szwecji i Fiordów Norwegii”.

równo dla dorosłych, jak i dla dorastających czytelników. W książce tej, suto ilustrowanej pięknymi rycinami, wiążą się i łączą w całość zajmującą i ciekawą wrażenia podróżnika, a więc widoki natury, obrazy życia codziennego tych ludów północy, ich zajęcia i rozrywki, stosunki rodzinne i urządzenia kulturalne; a dalej wspomnienia historyczne, przyczem autorka nigdy nie zapomina o Polsce i Polakach, wszędzie natrafiając na pamiętki stosunków politycznych Polski ze Szwecją za Jagiellonów i Wazów; wreszcie—i to najżywiej zajmuje autorkę—stosunki społeczne i instytucje publiczne, oparte na podstawie szerokiej demokratyzacji, zarówno we wzorowym szkolnictwie, jak i w samej budowie społecznej (udział kobiet w życiu politycznym). I ten właśnie pierwiastek użyteczności społecznej podkreśla autorka w swem dziełku jak najenergiczniej.

Rozpoczęte w ubiegłym sezonie, teraz właśnie ukończyło się wydawnictwo *Pism* tak powszechnie znanego autora, *Juliusza Verne'a*, w dziesięciu tomach (cena za tom kop. 75, w opr. kart. 90). Znajdzie się tu i tak popularna przed laty „Podróż naokoło świata w 80-ciu dniach”, i wysoce zajmujący „Piętnastoletni kapitan”, i sensacyjne „Czarne Indyje”, i ciekawa niezmiernie „Pięciotygodniowa podróż balonem nad Afryką”, i fantastyczna podróż „Naokoło księżycy”, i kilka innych jeszcze utworów prawdziwie nieśmiertelnych. Nieśmiertelnych, bo Verne nie starzeje się i zawsze równo wzbudza i wzbudzać będzie zachwyt młodych czytelników, którzy zdawna marzą, by

IGNACY GRABOWSKI:

Wynalazek prof. Hydrogena.

Profesor Hydrogen wykładał chemię na uniwersytecie w Megalopolu, a był głośną chlubą tej wszechnicy, wraz z równie znakomitym kolegą Albuminem, profesorem fizjologii, któremu (jak to widać z opowieści tegoż autora, p. t. „Homunculus”) udało się zrobić w retorcie człowieka. Obadwaj mężowie siedli na wierzchołku piramidy, zwanej „ludzkością,” byli sławą narodu, Megalopolitani, ulubieniem studentów, pociechą urwiszów i uliczników i, co najdziwniejsze, nie czuli ku sobie zawiści. Patrzano na nich, jak na dwa piękne kwiaty, które, jednakowo chłonąc promienie słoneczne, nie czynią wzajem ruchów pożerczych.

Profesor Hydrogen pracował szczególnie nad gazami, nad ich stężeniem i prężnością. Kochał gazy nadewszystko, porównywał je do myśli ludzkiej, która również nabiera siły, gdy ją ścisnąć, a bez śladu rozplywa się w przestrzeni, gdy jej wolne ujście zostawić. Chaos, pra-byt był gazem, wszystko w gaz się obróci. Pneuma, tchnienie świata, niewidzialne, lotne, wszędobylskie, podzielne, jak nieskończoność, przynosi na skrzydłach woń róży i cuch padliny. Profesor był pewien, że, gdy sam myśli, z mózgu unoszą się opary bezbarwne, niewidzialne, że płyną ku otaczającym go ludziom i sprawiają w ich głowach rzeczywisty czyn chemiczny. Niema niczego poza materią, ale jakież odmienne są jej stany! Bryła, twardość, nieruchomość, bierność stanowi żywioł niewolniczy, chamskość natury. Ciecz, masa ruchliwa, zmienna, łyskająca, mimo energię cząsteczek, skazana na związek nierozłączny z podłożem i martwością. Ciecz jest żywiołem handlowym świata, który poprzez wieki wieków równa ziemię, zamieniając góry na doliny, skalne kryształy w namuły rzecznych piasków. Gaz jest arystokratą przyrody, duchem jej... Może stężeć w kroplę wody, zmrozić się w lód. Może rozbiedz się po nadziemskich szlakach. Orzeł nad orłami nie posiada takich skrzydeł. Promieniuje z głowicy, z czupryny ziemi, rozsada ją brzuch, tłucze, jak kamień procny, dusi, jak fala, która pochwyca, a prócz tego rozrywa ciało na drobnicę, unosząc szczątki ku orbitom gwiazd.

Najstraszliwszy z Bogów, Bóg Twórcza i Mściciel, powstał w nim na Sinaj. Gaz jest oddechem ziemi, jej energią.

Profesor Hydrogen wynalazł gaz straszliwy. Wywiązuje się przy wybuchu nadzwyczajnie energicznym, posiada własności, w mgnieniu zabijające, duszne, trujące wszelkie żyjątka, któreby się znalazło w pobliżu. Gaz, który dotknięciem zabija plasmę, jak spojrzenie indyjskiego Siwy. Przy użyciu miligramów substancji w dużym pokoju laboratoryjnym padło, jak od piorunowego strzału, dwadzieścia świnek morskich. Profesor zwiększył ilość; poraziło cztery psy, legły śmiercią kamienną z jasnym, otwartym okiem. Samego profesora przeraziła taka moc niszczenia. Ale wnet rozstłoneczniła go duma uczonego. Nie mówiąc nikomu o swej zdobyczy, wziął się do naukowego opracowania zjawiska, aby wystąpić odrazu z gruntowną wieścią w czasopiśmie naukowym.

Ściany laboratorium wszakże miały uszy. Dowiedziano się: może od asystenta, może od samego profesora, który, sam nie wiedząc, mógł się być wygadać. Dowiedziano się,

oczywiście, trzy po trzy. Reporter najpoczytniejszego dziennika Megalopolitańskiego, „Łgarza Powszechnego”, siedm razy na dobę wychodzącego, pomieścił następującą notatkę, zapatrzoną w tytuł: „Nowa Era”, tłustemi czcionkami:

Nowa Era. „Z prawdziwie źródłowego źródła podajemy do wiadomości szanownym czytelnikom, że znakomity profesor uniwersytetu naszego, Hydrogen, wynalazł nowy gaz, który jest prawdziwym Ciałem Zniszczenia. O straszliwych jego własnościach może dać pojęcie następujące zestawienie: gdyby ktoś



— Laska! profesor zapomniał laski!

JAN HOLEWIŃSKI

wyszedł na ulice Megalopola ze zwykłym rozpylaczem do tępienia pcheł, oraz innego robactwa, a zamiast perskiego proszku wysypał owej, przez profesora Hydrogena wynalezioną gazorodną substancję, to od jednego dmuchnięcia zniszczyłby całą dzielnicę, wszyscy mieszkańcy, od piwnic aż do poddaszy, padliby, jak wytrute muchy. Odkąd wola jednego człowieka może się uzbroić takim strasznym narzędziem śmierci, ludzkość na nowe tory wkroczyć musi. Wobec grozy nieustannej, zawisłej nad każdym, społeczeństwo wyzbędzie się trawiącego go egoizmu jednostek i instynktów zaborczych, a zasiądzie w zgodzie i w miłości u jednego chrześcijańskiego stołu, przy którym nikt nie będzie nikomu zakłócał trawienia. Wynalazek profesora Hydrogena prowadzi nas do progu Wieczystego Pokoju. Niech żyje postęp!”

Przeczytawszy tę wiadomość, profesor rozgniewał się. Natychmiast udał się do redakcji „Łgarza Powszechnego”, gdzie przyjął go mile uśmiechnięty redaktor.

— Czem mogę służyć szanownemu profesorowi?—zapytał.

— Jak panowie możecie drukować takie bzdurstwa!—nieomal krzyknął profdссор.

— Drukuje się wszystko, albowiem nic ludzkiego nie powinno być obce człowiekowi. *Nil humanum etc...*—odpowiedział redaktor.

— Panowie obełgujecie ludzkość!

— W miarę zapotrzebowania. Stajemy

wszakże niekiedy na gruncie faktów rzeczywistych. Korzystając z uprzejmej bytności u nas szanownego profesora, radziłyśmy zamieścić napisane własną jego ręką sprostowanie, wiadomość, jeszcze bardziej źródłową, bezpośrednią...

— Jeszcze czego! łzyjcie dalej!

Profesor wybiegł.

Redaktor za nim.

— Laska! Profesor zapomniał laski!

Tamten wrócił po laskę, którą mu wręczył redaktor.

Profesor ścisnął dłoń kijaszek. O, jakże chętnie przeniósłby był go na uśmiechnięte, bezczelne oblicze tamtego, który patrzył na niego ze spokojem archanielskim.

— Szczęście pańskie, żeś mi go sam poda!—mruknął.

— Moje uszanowanie panu profesorowi. Polecamy się—zakończył redaktor.

Profesor powrócił do laboratorium całkiem skwaszony. Palce mu się plątały, stłukł kolbę, sparzył się, kłął. Nie przeczuwał wszakże, że szła ku niemu nierównie cięższa fala zmartwienia. Los wysłał złośliwych dyablików, które zaczęły latać około głowy profesora, wczepiać się, drzeć jego piękne srebrne włosy.

Oto, gdy zasiadł w przyległym do laboratorium gabinecie nad obliczeniami, do pokoju weszła nieznana figura. Człowiek o twarzy bladej, obfitem, a nieporządkiem uwłosieniu, oczach bystrych i wulkanicznych. Zbliżył się do biurka i rzekł grzecznie, lecz natargiwie:

— Wybacz pan profesor, ale wyczytałem w gazetach...

— Kłamstwo!

Uczony rzucił pięścią w biurko, gniewnie, z pasją...

Człowiek o bladej twarzy zmieształ się na chwilę. Wkrótce zapytał z niepewnością:

— Jako, więc wiadomość o wynalazku nie jest prawdziwa?

— Kłamstwo!—powtórzył profesor. Był tak rozdrażniony, że leczyło go własne kłamstwo, powtarzane niemal z krzykiem. Czemu mąca spokój jemu, którego cisza jest szczęściem i twórczością? Patrzył na natrętnego ciekawca groźnie.

— Szkoda, że się nie sprawdza—rzekł poważnie Błada Twarz.

Teraz profesor oczekiwał napewno, że intruz odejdzie. On wszakże ani myślał o tem, lecz przeciwnie, usiadł na krześle i zadumał się. Profesor nie wiedział, co z nim począć.

— Jaka szkoda!—mruczał pod nosem tamten.

— Z kim mam przyjemność?—wycedził przez zęby profesor.

— Nazwisko moje jest pustym dźwiękiem. Jam jeden z milionów, atom. Przychodzę do pana, jako przedstawiciel pokrzywdzonej ludzkości. Szkoda!—powtórzył raz jeszcze.

— Czem służyć mogę?—rzekł profesor, onieśmielony zagadkowością przybysza.

Błada Twarz wstał i przeszedł się po pokoju. Poprawiwszy gęsty włos, zajrzał do komnaty, tuż obok.

— Tu pańskie laboratorium?—zapytał.

— Tak.

Wszedł, profesor za nim. Jak w aptece, nieruchomo sterczały setki flakonów w powietrzu odświeżanem, a jednak cząsteczkami nieprzyjemnych gazów cuchnącem. Martwość żyła w tych ścianach, raczej śmierć, niż życie. Pod oszkloną przeciagarnią płonął sze-



— Nic nie wynalazłeś, profesorze, badaczu, człowieku uczony.

JAN HOLEWIŃSKI

roki język gazu, pożerając wzywy i dymy. Miejsce do balsamowania trupów.

— Pomyśleć, że tutaj mogłoby się począć odrodzenie ludzkości—mówił Błada Twarz. Z nędzy i brudu świata uczynilibyśmy rozkosz wiecznego raju. Dlaczego pan nie wynalazł tego śmiertelnego gazu? Dlaczego?

Chwycił za ramię profesora, który odsuwał się niepewny, czy nie ma do czynienia z waryatem.

— Daj proletaryatowi w ręce ten środek niechybnego zwycięstwa, a stworzysz się nową formacją ludzkości. Stary płaszcz, wyplamiony resztkami uczt i sosów, śmierdzi, trzeba go przenicować. Podszewka lśni świeżością materiału. Daj nam broń w ręce, tajemniczą, nikomu innemu nie znaną, uderzającą, jak śmierć. Daj nam siłę do karania i do przebaczenia. Zamiast kocich skoków daj nam pazur lwa.

— Myślałem cudnie, marzyłem, wyczytawszy wieść o wynalazku twoim. Odm dostał do rąk pług, którym przeorzę społeczeństwo, jak ugór, zależały dzikim chwastem. Czarne skiby odwałę, zmieszam warstwy, wierzchy przemurszałe i płonne schowam pod spód, w łono ziemi, a wydobędę maź tłustą, dziewiczą, która pod słońcem napęcznieje płodnością. Zasieję ziarno pszenne, naturę w złote kłosa przybiorę, wonią róż napełnię powietrze!.. O, stań się, upragniona inności!

— Nic nie wynalazłeś, profesorze, badaczu, człowieku uczony, próżna praca twoja i nędza twoja, jesteś niczem... łap dalej muchy, z miliardów po jednej, życzę powodzenia! Przepraszam, żem zakłócił twój letarg. Do widzenia.

Teraz profesor chwycił tamtego za ramię.

— Czy pan jest pewien, że niczego nie wynalazłem?—rzekł.

Błada Twarz spojrział nań pogardliwie.

— Sam pan to powiedział, czy mam nie wierzyć?

— A gdybym wynalazł?

— Postępowanie pańskie byłoby nie do zrozumienia. Goniłby pan za rozgłosem, jak chłopiec majowy za dziewczyną. Pan przeczył.

Profesor uśmiechnął się.

— Powtarzam raz jeszcze... a gdybym miał w rękę ten rajski, jak pan nazywa, eliksir odrodzenia? Gdybym rzeczywiście mógł wręczyć światu nowy, nieznan, straszliwy sposób zniszczenia?

— Daj go pan mnie, zaraz— rzekł lakonicznie Błada Twarz.

— Dałbym go społeczeństwu, mój panie, otwarcie, każdemu. Nauka, jak słońce, przyświeca wszystkim. Ogłosiłbym go, jako dobrobyt ludzkości. Nie wdaję się w wasze przejściowe walki, pretensje, nieporozumienia. Są to reakcje wypadkowe. Jestem uczonym. Mieszkać na planecie, zwanej Nauką, która nie ma zgoła łączności z Ziemią, z cyrkiem waszych namiętności.

— Co za szczególna kosmografia!— zawołał szyderczo Błada Twarz.

— Przyszedł pan tutaj z żądaniem, dla mnie ubliżającym, abym oddał swój wynalazek na miecz dla was przeciwko tym, których mianujecie wrogami. Pańska chęć szczerą i gorącą okupuje tę śmiałość. Tak jest. Wynalazłem to, o co panu chodzi. W przeciągu miesiąca dowiedzą się wszyscy z miesięcznika „Chemii”. Za żadną cenę nie chcę zaplątać się w wasze znikome sprawy. I nic więcej nie mam panu do powiedzenia.

Profesor skłonił się nieznajomemu z gestem, wzywającym do odejścia.

— Jeszcze jedno słowo, panie profesorze.

— Proszę.

— Czy, oddając wynalazek do użytku publicznego, postępuje pan sprawiedliwie i bezstronnie?

— Nie rozumiem...

— Innymi słowy, czy wszyscy ludzie będą mogli zeń korzystać?

— Oczywiście.

— Zaprzeczam. Zużytkować go będą mogli skutecznie tylko ci, którzy mają pieniądze na postawienie fabryk pańskiej substancji śmiertelnej, oraz władzę zabraniającą innym jej wyrobu. Pan wzmacnia siłę tych, którzy posiadają jej nadmiar. Pańska „nauka czysta”, pańskie „niezależne stanowisko” jest złudzeniem, które, przepraszam za szczerość, nie przynosi zaszczytu pańskiemu umysłowi. Chcąc czy nie chcąc, porwany w wir chaosu społecznego, musisz się kręcić razem z ziemią. Pańska „prawda chemiczna” musi mieć barwę moralną, białą, czarną, szarą, błękitną. I wynalazek twój może być dla ludzkości koszulą Dejaniry. Pożytek świata zależy od dłoni, jaka go posiada.

— Patrz pan, retorty moje nie rozumieją pańskiej dyalektyki—rzekł sucho profesor.

— Na pamiątkę zostawiam im myśl.

— Dziękuję uprzejmie.

— Niema za co. Nic mnie nie kosztuje.

Błada Twarz wyszedł, profesor odetchnął. Pierwszym czynem jego po pozbyciu się natręta było politowanie się wewnętrzne nad człowiekiem, który wydał mu się spaceniem przyrody, pomyślał, że żarła go anemia, brak krwi i że wkrótce śmierć poń się zgłosi, ga-

sząc to nieudane życie, które radeby się ratować gorączką męki. On sam nigdy się nie był zastanawiał nad podobnego rodzaju karkołomną gimnastyką mózgu. Usiadł przy biurku, powrócił do obliczeń.

— Prawda chemiczna musi mieć barwę moralną... co za myśl!

Podniecało go wspomnienie drwin, z jakimi, od czasu do czasu, Błada Twarz gasił jego uczoną aureolę. Świat inny, obcy mu, wdarł się dzisiaj do jego laboratorium, psując mu uwagę i zdolność najwyższej doskonałości badania.

— Musisz się kręcić wraz z ziemią.

Człowieka, do ścisłych badań przywykłego, do patrzeń i wrażeń dotykalnych, rozdrażniało wtargnięcie elementów niepochwytnych, niemiernych, którym nie mógł dać rady. Napróżno usiłował odrzucić je, jako nierealne. Wybryki myślowe Bładej Twarzy mogły być nierealne, ale drwiny jego były realne! Szydercze oczy jego dotąd ciągle i coraz silniej patrzyły na profesora. Ze znakomitego uczonego kpił ten człowiek, a co gorsze, kpił głęboko, z przekonania. Profesor czuł, że Błada Twarz nie udawał. Była w tem jakaś rzeczywistość.

Wstał od stołu, przeszedł się po laboratorium. Po raz pierwszy dostrzegł, że szkło retort, kolb, flakonów jest martwe, a płomień języków gazowych brudny. Pustka przechadzała się po komnacie miarowo, w takt jego kroków. Zapomniał o swoim wynalazku, gryzła go myśl, że może istnieją dziedziny poznania ludzkiego, które, jak ciemne, brzemienne chmury, kładą się na słoneczność badań ścisłych, zalewając wszystko potopem wątpliwości. Błada Twarz bezmyślnie patrzył nań okiem smutnem i szyderczem. Było mu nieznośnie.

Drgnął. Znowu ktoś wszedł. Był to słujący, który wygłosił:

— Jego Ekscellencya pan z ministerium.

Profesor zastał w gabinecie wytwornego pana, który powitał go miłym uśmiechem. Był to rzeczywiście Jego Ekscellencya, wiceminister spraw wewnętrznych państwa Megalopolitańskiego.

Piękna glansowana rękawiczka męża stanu spoczęła dłużej i serdecznie w dłoni profesora. Rzekł:

— Winszujemy! Powracam właśnie z Rady ministrów. Wszyscy są zachwyceni pańskim wynalazkiem.

Profesor nie usiłował przeczyć. Skłonił się i milczał.

— Czy może mi szanowny pan udzielić bliższych wiadomości o swej niszczącej substancji?—rzekł mąż stanu.

— Pod jakim względem, Ekscellencyo?

— Rozumiem, jaką mianowicie przedstawia siłę druzgotu w porównaniu z dynamitem, melinitem i t. d.

— Ach! mam tu formuły!—rzekł Hydrogen, pokazując algebraiczne rachunki.

— Nie o to mi chodzi—uśmiechnął się Ekscellencya—chciałbym wiedzieć, naprzykład, ile pewna ilość substancji (dajmy na to, objętości tej Minerwy, którą noszę, jako brelok) może zabić ludzi zupełnie na czysto, bez odsyłania balastu rannych do szpitalów?

— Skupionych razem do tysiąca—odrzekł profesor.

— Piękny wynalazek, profesorze!

— Ilość podwójna zabije ośm razy tyle.

— Oczywiście. Zdumiewający wynalazek! Ile profesor żąda zań?

— Jakto, Ekscellencyo? ja niczego nie żądam. Praca moja jest własnością ogółu.

— Ma się rozumieć, ale w danym wypadku państwo go chce kupić, i państwo ma pierwszeństwo—rzekł z naciskiem mąż stanu.

— Nie mogę się na to zgodzić! Czysta nauka nie zna ani państwa, ani ludzi, jest prawdą samą w sobie.

— Państwo jest opiekunem nauki, bez jego ochrony laboratorium pańskie stałoby się łupem łobuzów ulicznych.

— Bez nauki i wynalazków nie zdołaliście zogniskować władzy i utrzymać ładu.

— Władza, kochany profesorze, musi mieć wszystko pod sobą, a zatem i naukę, inaczej byłaby cieniem siły. Im bardziej rośnie w cyfrę cywilizowana ludzkość, tem napięcie dynamiczne pośród miliarda istnień, walka potrzeb jest silniejsza, groźniejsza i wymaga potężniejszych piorunochronów. Państwo rosnać musi, jak dąb, coraz głębiej się zakorzeniać. Służbę dlań pełni wszystko, nawet sztuka i nauka.

— Ekscellencyo!—zawołał gorąco profesor.

— Profesorze, mówię do człowieka uczonego, którego nie powinny obowiązywać wykrzykniki zdziwień. Na tysiąc ludzi dziewięćset dziewięćdziesięciu dziewięciu *pragnie*, a za ledwie jeden *myśli*. Prawdopodobnie wziąłem stosunek znacznie za wysoki. Nie myśl, lecz pragnienie jest treścią życia, a państwo nie ma być akademią uczonych, lecz ujeżdżalnią rozmaitych gatunków dzikich instynktów. Tę trochę pięknych kwiatów, jakie niekiedy wacha ludzkość, podaje silna, gotowa uderzyć pięść. Wonne bukiety, związane żelaznymi łańcuchami praw, które nigdy nie są sprawiedliwe, choć za takie trzeba je mienić. Czyn ludzi myślących musi ulegać czynności stada; chęć Sokratesa nie obowiązuje Aten. Wolno ci było, profesorze, zrobić wynalazek, ale nie masz prawa rozporządzać nim w zastosowaniu do ludzi.

— Jakto? Chcecie mnie wywłaszczać z mojej myśli! Ależ ja się nie broniłem i nie bronię się. Oddaję pracę swoją na forum publiczne. Państwo nie ma potrzeby kupowania wynalazku, będzie go miało darmo. Przyznam się, Ekscellencyo, że nie rozumiem dokładnie nacisku, jakiego doznaję.

— Ach!—uśmiechnął się mąż stanu.—Laboratorium pańskie jest małe, a świat duży. Nasza potężna Megalopolitania zajmuje nie cały obszar ziemi; tuż obok posiadamy sąsiada, Megistopolitańczyka, z którym przyjaźnimy się wprawdzie i ściskamy mocno przez delikatne dłonie dyplomatów, ale z którym nie ryzykowalibyśmy zasnąć w jednym pokoju. Jeżeli wszyscy poznają wynalazek pański, my stracimy przewagę, jaką moglibyśmy zdobyć, będąc wyłącznymi jego właścicielami, i nasza Rada ministrów postanowiła stanowczo nabyć wynalazek, bez względu na cenę.

Mąż stanu skończył słowa głosem twardym i zaczął oglądać swe fioletowe paznokcie.

— Nie sprzedaję, Ekscellencyo! poza pensją profesorską, jaką zarabiam, nie potrzeba mi pieniędzy—odrzekł profesor.

— Milion—rzucił Ekscellencya.

— Nie! Wstydzilibym się kolb i retort, a te w dalszej pracy odmówiłyby mi posłuszeństwa.

— Order cnoty naukowej.

— Mam nadzieję dostać go za wynalazek.

Mąż stanu wstał:

— Niemniej postanowiliśmy mieć wynalazek. Zostawiam panu cały dzień do namysłu. Po tym czasie, w razie niedojścia do

skutku układów naszych, profesor będzie uwięziony.

— Co? Gwałt? bezprawie?

— Wynalazek zagraża bezpieczeństwu publicznemu. Musimy pana od świata odosobnić. Aresztuję naukę.

— Protestuję w imieniu myśli, w imieniu nauki! Cały świat poruszę.

— I owszem, świat się równie łatwo porusza, jak uspokaja.

— A któż tu zajmie miejsce na mojej katedrze, w moim laboratorium?—zapytał dumnie profesor Hydrogen—zobaczymy, co powiedzą studenci!

— Na miejscu pańskim siadzie jaki prawdziwy patriota, który sprzyja ojczyźnie.

— Ekscellencyo, ja kocham i pracuję dla ojczyzny. Jeżeli będzie potrzeba, gotów jestem oddać część pensji swojej, ale powtarzam, ale...

— W interesie ogółu ogłosi się pana, jako kiepskiego Megalopolitańczyka, a wszyscy uwierzą, bo fakt przeciwko panu.

— Tfu!

Profesor splunął. Ekscellencya wyszedł. Nastąpiła cisza, chwila fatalna, gdy cała menażerya myśli zaczęła w głowie ludzkiej wycić i hałasować. Ostatecznie wszystkie inne żyjątka były słabe i dawały się odpędzać z wyjątkiem czarnego nietoperza, który się natrętnie profesorowi przyciskał.

— Więzienie!

Profesor się rozjuszył. Jak byk, gotów był bóść rogami, deptać.

— Zobaczymy!

Chwył laskę, bił nią o parapet, który wydawał mu się Ekscellencyą. Ale wkrótce pomyślał, że to nie Ekscellencyę, ale jego zamknął w więzieniu.

Spotkało go nagle coś niespodzianego, przerywającego na zawsze spokojne i niechmurne jego bytowanie. Śnił w rajskim ustroju Nauki, a naraz dano mu skosztować z drzewa wiadomości złego. „Musisz się kręcić razem z ziemią”—ukazywał mu się razem szyderczy uśmiech Bładej Twarzy i słodko-trujący gest Ekscellencyi. Poczł w sobie niemoc dziecka i straszliwy żal do otaczającej przyrody za zawód, do którego nie był przygotowany, on, poszukiwacz jej praw, pogromca i sprzęgacz sił.

Wydała mu się stokroć mądrzejsza i potężniejsza rosnąca tuż przy oknie akacya, liściem soczystym do murów zagładająca, niż on sam z całą wiedzą. Roztargać się pragnął, wyjść na powietrze, wziął kapelusz, kij...

Nowa postać stanęła na progu.

— Kto?

Ogromny człowiek z przejasną twarzą, mocnymi, odgarnionymi w tył puklami włosów, z szyją odsłoniętą, wypukłą piersią, ubrany w luźne szaty marynarskie. Był jak bałwan morski, żywy, srebrny, nieodparty.

— Wychodzę—rzekł profesor, usiłując odsunąć go z drogi ręką.

— Wyjdziemy razem—odparł tamten, chwytając silnie ramię profesora.

— Proszę mnie puścić.

— Nie! Jestem jedynym twoim przyjacielem, profesorze, więc pozwalam sobie na poufałość.

Ujął go pod ramię i lekko opierającego się wyprowadził na schody.



Filip de Girard.



Henryk hr. Łubiński.



Karol Hielle.



Karol Dietrich.

Z dziejów naszego przemysłu.

II.

Z pomiędzy firm, reprezentujących nasz przemysł, godzi się wymienić w pierwszym rzędzie Towarzystwo Akcyjne Zakładów Żyrardowskich Hiellego i Dittricha w Żyrardowie. Zakłady te, jedne z najstarszych w kraju naszym, zostały założone w r. 1833 przez grono śmiałych, jak na owe czasy, przemysłowców, pierwotnie pod firmą „Karol Scholtze i Ska. Rozwijały się przy udziale inżyniera francuskiego, Filipa de Girard, wynalazcy mechanicznego prądu lnu i ekonomisty ówczesnego, Henryka hrabiego Łubińskiego, których należy uważać jako faktycznych założycieli fabryki.

Od nazwiska Girard, terytorium, na którym mieści się fabryka i osada fabryczna, otrzymała nazwę „Żyrardów”. Osada ta, niegdyś niepozorna, obecnie rozmiarami i okazałą swoją powierzchnią przerasta niejedno miasto powiatowe.

Po przejęciu fabryki w r. 1847 przez ówczesny Bank Polski, zakłady w r. 1857 przeszły na własność firmy. Hielle i Dittrich z Schönlinde w Czechach Północnych, w r. 1885 zostały przekształcone na Towarzystwo Akcyjne pod firmą powyższą.

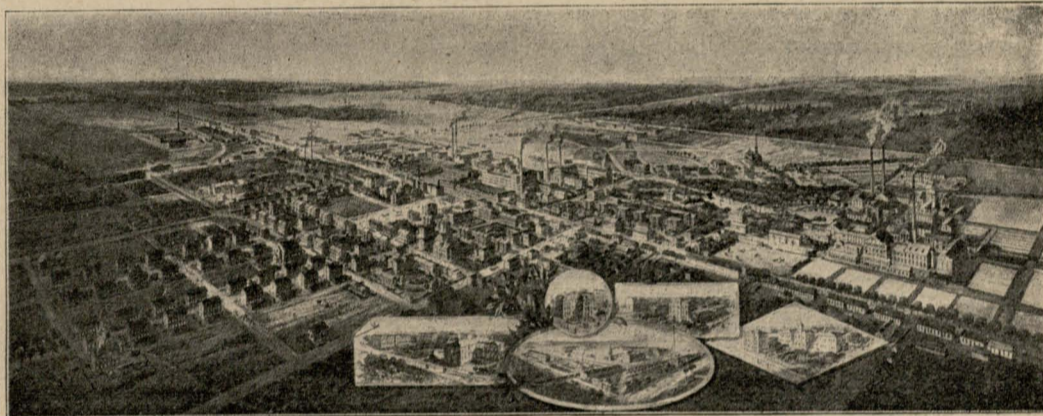
Pierwotnie Zakłady Żyrardowskie zajmowały się przędzeniem lnu i tkaniami z przędzy lnianej

plóciennych i białej, które doprowadziły do pierwszorzędnej doskonałości. W dalszym swoim rozwoju, wprowadziły fabrykację wyrobów dzianych (pończoszniczo i trykotaże), zatrudniając obecnie 1,800 robotników i będącą największą fabryką tych wyrobów nie tylko w państwie rosyjskim, ale i na całym świecie. Następnie dodały jeszcze przędzalnictwo i tkactwo bawełniane, których wyroby dla swojej doskonałości są dobrze znane.

Liczba pracowników w Zakładach Żyrardowskich dochodzi do 9,000 osób. Kapitał zakładowy wynosi 9,000,000 rubli.

Zakłady Żyrardowskie, stojąc na czele przemysłu lnianego i pończoszniczego, wyroby swoje zbywają w Królestwie Polskiem i Cesarstwie, przyczem pobudzają konkurencję nie tylko do naśladownictwa w fabrykacji, ale i służą wzorem dla wielu pod względem urządzeń filantropijno-kulturalnych, jakie wprowadziły dla swoich pracowników.

(DCN)



Ogólny widok zakładów Żyrardowskich.

NADESŁANE.

KALODONT
 Niezbędny krem do zębów
 Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.
 Żądać wszędzie

G. G. LARDELLI CUKIERNIE
 Fabryka Czekolady
 Bołduena 5. Nowy-Świat 27, Marszałkowska 68.

PASTILLES DE **TAMAR INDIEN GRILLON**
 Owoc przeczyszczający PRZECIW OBSTRUKCYI
 Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem
 PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.
 We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Najlepsze naturalne „WINA CHASTA” SKŁAD
 Warszawa, Marszałkowska 101
 Butelka od 40 kop. do 2 00.

Pragnąc uprzyjemnić prenumeratorom *Tygodnika Ilustrowanego* nabycie cennego 8-tomowego dzieła

ALEKSANDRA KRAUSHARA
 p. t. TOWARZYSTWO WARSZAWSKIE PRZYJACIÓŁ NAUK

wytwornie wydanego i ozdobionego kilkuset ilustracjami, które odtwarzają obraz umysłowości i kultury społeczeństwa polskiego w pierwszym trzydziestolecu wieku XIX. Uzyskaliśmy zgodę autora na oznaczenie ceny tegoż dzieła, wynoszącej w handlu księgarskim **rubli 28, na rubli 15** za egzemplarz dla prenumeratorów miejscowych, dla zamiejscowych zaś z przesyłką pocztową w obrębie Królestwa Polskiego i Cesarstwa Rosyjskiego na rubli 17, do dalszych miejscowości przesyłka oblicza się w stosunku taryfy pocztowej.

Cena ta obowiązywać będzie tylko do dnia 1 marca 1910 roku.

Tom I. Czasy pruskie 1800—1807. Tomy II i III. Czasy Księstwa Warszawskiego 1807—1815. Tom IV. Czasy Królestwa Kongresowego 1816—1820. Tom V. Czasy Królestwa Kongresowego 1820—1824. Tom VI. Czasy Królestwa Kongresowego 1824—1828. Tom V.I. Czasy Królestwa Kongresowego 1828—1830. Tom VIII. Czasy polistopadowe 1831—1836.

C. Skoryna Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbin, Transmisyj i t. p.
 Warszawa-Praga
 OLSZOWA 14, Tel. 49.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC
 KRAKÓW TELEFON 671

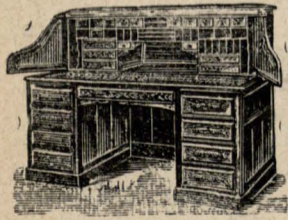


WYDAWNICTWA GWIAZDKOWE

(SIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE)

Nowości 1909-1910

	Rb.	k.
Askenazy Sz. Książę Józef Poniatowski (1763—1813). Z 22 rycinami i hejiografiurą według portretu Grassiego. Wyd. 2-gie	3	—
W ozdobnej oprawie	4	—
Bukowiecka Zofia. Jak Polska za Jagiellonów urosła od morza do morza. Opowiadania. —.80, w opr. kartonowej	1	20
Galopin Arnold. Doktor Omega. Fantastyczne przygody na Marsie. Z 10 ilustr. Przekł. Maryi Ślizień. Karton 1 20, w opr.	1	50
Konopnicka Marya. Pan Balcer w Brazylii. Poemat.	3	—
W ozdob. opr.	4	—
Krakowowa Paulina. Niespodzianka. Zbiór powiastek dla małych dzieci. Wydanie 11-te poprawione, z 5-rysunkami K. Gorskiego.	—	75
Morawska Zuzanna. Pod Sasowym Rogiem. Powieść z XVII wieku. Z 6 rysunkami St. Bagińskiego. Kart. 1.20, w opr.	1	50
Niewiadomska Cecylia. O czym Zosia nie wiedziała. 20 powiastek dla dzieci. Z 4-ma rysunkami kolorowanymi K. Gorskiego. Wyd. 2-gie.	1	—
Ostrowski Stanisław. Z dziejów pułku. Pułk dwunasty piechoty Księstwa Warszawskiego. Z 10 rysunkami St. Bagińskiego. Treść: Święcone Dąbrowszczyków.—Obrona Torunia.—Na Hibernach.—Dobosz Markowski.—Rywalka.—Rewia królewska.—Pod Berezyną.—Batalion walecznych.—Las śmierci.— Ostatni z pułku.	1	50
Karton 1.20, w opr.	1	30
Przyborowski W. Bitwa pod Raszynem. Powieść historyczna, dla młodzieży. Wyd. 4-te, z 6 rykinami K Gorskiego.	1	30
Karton rb. 1, w oprawie.	1	50
Teresa Jadwiga. W słońcu. Powieść historyczna, osnuta na tle epoki saskiej, dla młodzieży. Wydanie 2-gie, z 3 rycinami.	1	50
Karton 1.20, w oprawie	1	50
Verne Juliusz. Pisma. Wyd. nowe z rycinami:		
— Tom I. Podróż naokoło świata w 80-ciu dniach. Wydanie nowe z 4 rycinami. —.75, karton	—	90
— Tom II—III. Piętnastoletni kapitan. Wyd. nowe z ilustracyami. 1.50, karton	1	80
— Tom IV. Pięciotygodniowa podróż balonem nad Afryką. Wyd. nowe z ilustracyami. —.75, karton	—	90
— Tom V. Czarne Indyje. Powieść. Wyd. nowe z ilustracyami. —.75, karton	—	90
— Tom VI. Gwiazda południa. Powieść. Przekład z franc. R. G. Wyd. nowe z ilustracyami. —.75, karton	—	90
— Tom VII. 500 milionów Begumy. Wyd. nowe z ilustracyami. —.75, karton	—	90
— Tom VIII. Przygody na okręcie „Chancellor”. Notatki podróżnego J.R. Kazallon. Wyd. nowe z ilustr. k. 75, karton	—	90
— Tom IX. Na około księżycy. Wyd. nowe z ilustr. —.75, karton	—	90
— Tom X. Fustynia lodowa. Wyd. nowe z ilustr. k. 75, karton	—	90
Wells H. G. Wojna w przestworzu. Powieść fantastyczna na tle najnowszych odkryć w dziedzinie awiatyki. Z 12 ilustracyami. Przek. S. Barszczewskiego. Brosz. rb. 1, w opr. kart. 1 20		
Katalogi szczegółowa księgarnia na żądanie wysyła bezpłatnie.		



KOMPLETNE

Urządzenia Biurowe

KAROL F. FISER

Warszawa, Mazowiecka 10.



VENUS

puder uznany na wystawach higienicznych jako nieszkodliwy i polecany dla PAŃ jako najlepszy puder krajowy.

AGATOL

proszek, eliksir i pasta do ZĘBÓW o silnym aromacie i własnościach przeciwnilnych.

FARBA GRECKA

najlepsza do farbowania włosów. Cena pudełka 2 i 3 rub.

Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34. Żądać wszędzie.

PIEGI

przyszcze, plamy usuwa crem VENUS idealnie skuteczny środek.

MAGAZYN I FABRYKA JUBILERSKA

ALEKSANDER ORACZEWSKI

WARSZAWA, TELEFON 186-11 ULICA NOWY - ŚWIAT Nr 29

Wielki wybór biżuterii brylantowej. Ceny fabryczne.

Bracia ŁOPIEŃSCY

POLECAJĄ BRONZY

SALONOWE I KOŚCIELNE

MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIĘCIA

Nr 15

Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER i WOLFF

Druk Piotra Laskauera i S-ki w Warszawie.

Znakomite

PIWO i PORTER

Na nadchodzące święta poleca TOW. AKC. BROWARÓW

WALDSZLESCHEN

RYGA

Skład Główny na Królestwo Polskie w Warszawie PRAGA ul. STRZLECKA 25. Telefonu Nr. 33.



A. JASKULSKI

WARSZAWA, WIERZBOWA Nr. 1.

SKŁAD FABR. WYROBÓW PLATEROWANYCH

Tow. Akc. R. Plewkiewicz i S-ka

Wielki wybór najnowszych sztucy i nakryć stołowych platerowanych. Nowości ze srebra, bronzu, cennego marmuru, niklu i t. p. Przedmioty galanterijne. Naczynia kuchenne Berndorfskie z czystego niklu po cenach fabrycznych.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Zgnębionej Litwince. Na odmrożone nogi skuteczny jest *Galurine* płyn i *Krem* tegoż nazwiska, trzeba używać jednocześnie, szczegółowy opis użycia załączony. Na wystające kości może lekarz co pomoże.

Polce na obczyźnie. Piegi usunie *Metamorfiza Ponsarda* tymczasowo, radykalnie zaś zabezpieczy od powtórzenia ich ukazania się *Masażystka pneumatyczna.*

Litwince. *Abarid* jest tylko jeden, stosowany równocześnie z *Masażystką pneumatyczną* nie tylko zabezpiecza od zmarszczek, ale już silnie uformowane usuwa bez śladu, a jednocześnie zabezpiecza od wszelkich wyrzutów na twarzy. Najnowsza kosmetyka naukowa zabrania stanowczo używania mydła do twarzy, choćby nawet najdroższego. Twarz myć uależy specjalnie *Otrąbkami Abaridowemi.* Wszelkie proszki do mycia głowy zarzucić należy, jest to poprostu potaż z trochę mydła, to tylko podrażnia skórę. Wstrzymać wypadanie włosów doraźnie *Tetra*, myć głowę albo mydłem *borarorem* albo *Tetra*.

Sz... X. Ręce, które nie były odmrożone, wybieli i wygładzi *Pâte de Prélats Pousarda.* Środek ten działa natychmiastowo po pierwszym użyciu. Po namaszczeniu rąk, konieczne są

rękawiczki kosmetyczne nienasycone. *Pureol* wmywa węgry na poczekaniu.

Jeszcze jednej Litwince. Maszynka do uregulowania kształtów nosa dopasowuje się za pomocą odpowiednich śrubek do każdego nosa. Do tego krem. Razem 8 rb.

Pani Ch. W. Gorsety firmy brukselskiej *P. Dutoict* z marką *P. D.* należą do najmłodniejszych, wykonanych z wielką precyzją i uwzględnieniem estetyki oraz higieny. Fasony „Directoire” cieszą się uznaniem najwykwintniejszych pań z towarzystwa, oraz artystek scenicznych. Zamówienia listowne adresować: gmach dochodowy teatrów, ul. Wierzbowa w Warszawie”.

Do różnych. Na kombinowaną zapytania prosimy o dokładny adres, a odpowiedź przesłana będzie listownie. Listy z pytaniami znaczyć na kopercie dla *P. Ercédès.*

Wszystkie zalecane tutaj środki, dla wygody prenumeratorek *Tygodnika*, podjęły się wysyłać pocztą za zaliczeniem perfumerye: „*Perfection*” *Szpitalna 10* i *Paszkowski* Marszałkowska 109.

M-me Ercédès.



Oprócz wszelkich Zabawek ogólnie znanych MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8) poleca:

AEROPLANY

różnych systemów, ELEKTRYCZNE ZABAWKI, Pokojowe TIRS AUX PIGEONS, dziecięce PLUGI i BRONY, SANKI, MASZYNY do PISANIA, oraz PRZYBORY do KOTYLIONA i t. p.

